



BEZPŁATNY KWARTALNIK

NR 2

ZIMA
2017



Z okazji Świąt
Bożego Narodzenia
zespół redakcyjny
EKOGadki
życzy wszystkim
Czytelnikom
Bożego błogosławieństwa,
zdrowia, pokoju serc
i radości, oraz pięknych
chwil spędzonych
w gronie najbliższych.



Szanowni Czytelnicy!

Oddajemy w Państwa ręce drugi numer EKOGadki. Docierające do nas głosy wskazują, iż pomysł zaistnienia naszego kwartalnika spotkał się z Państwa pozytywnym odbiorem. Wsłuchujemy się w przekazywane opinie, zarówno te pochlebne jak i krytyczne. Cieszy nas aktywny udział w ogłoszonych na łamach EKOGadki konkursach, w szczególności dziękujemy dzieciom za nadesłane prace, które publikujemy w tym numerze. Jak Państwo zauważą poszerza się grono naszych autorów. Chcemy by różnorodna tematyka publikowanych tekstów była dla Państwa źródłem przydatnej wiedzy i mądrej rozrywki.

Zapraszamy kolejnych chętnych do podzielenia się swoimi zainteresowaniami i pasjami, tym samym do aktywnego współtworzenia naszego pisma.

Zarząd Kom-Eko S.A.

**Moja Mama,
mój Tata w pracy
rozstrzygnięcie konkursu
plastycznego dla dzieci
pracowników Kom-Eko
str. 30**

POLECAMY:

| | |
|------------|----|
| EKO TRATWA | 20 |
| WYWIAD | 26 |
| FELIETON | 36 |
| ANEGDOTY | 52 |



Kalendarium Kom-Eko

Minione tygodnie to przede wszystkim ogrom codziennej, efektywnej, choć nie zawsze efektownej pracy, ale również kilka wartych przypomnienia zdarzeń:

28 września 2017

W ramach patronatu nad Szkołą Podstawową nr 48 im. J. Piłsudskiego w Lublinie KOM-EKO S.A. przekazało sprzęt informatyczny i multimedialny, który służyć będzie w działaniach edukacyjno-wychowawczych szkoły.

październik 2017

Rozpoczęcie cyklu zajęć „Ekologiczny uczeń” prowadzonych przez ekspertów KOM-EKO w ramach semestru zimowego Uniwersytetu Otwartego KUL. Działania edukacyjne skierowane są do uczniów szkół podstawowych i odbywają się w ramach umowy o współpracy podpisanej między Katolickim Uniwersytetem Lubelskim a KOM-EKO S.A.

3 listopada 2017

W wyniku powszechnych wyborów wyłoniono przedstawicieli pracowników KOM-EKO S.A. Zostali nimi: pani Izabela Karasińska, pani Jolanta Kosior i pan Zdzisław Bobel.

4 listopada 2017

Ukazał się pierwszy numer kwartalnika EkoGadka.

3 – 5 listopada 2017

Sponsoring wyjazdu uczniów z Liceum Ogólnokształcącego im. S. Staszica do Oxfordu na międzynarodową konferencję „Oxford International Model United Nations 2017”.

10 grudnia 2017

Wsparcie dla X edycji akcji MotoMikołaje, w ramach której lubelscy motocykliści dostarczyli prezenty dla dzieci przebywających w lubelskich szpitalach i domach dziecka.

WSPARCIE DLA SZKOŁY

ADAM PRYZSTUPA



FOTO: Redakcja



„Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie” pisał przeszło czterysta lat temu kanclerz Jan Zamojski a stwierdzenie to i dziś nie traci nic ze swej aktualności. Mając to na uwadze wraz z nowo rozpoczętym rokiem szkolnym firma KOM-EKO zdecydowała się wesprzeć uczniów i nauczycieli Szkoły Podstawowej nr 48 im. Józefa Piłsudskiego.



W dniu 28 września 2017 r. Wiceprezes Zarządu KOM-EKO Ireneusz Zimoch w obecności Samorządu Uczniowskiego przekazał na ręce Pani Dyrektora Henryki Olszak oraz Pani Wicedyrektor Marioli Golonki sprzęt multimedialny (7 notebooków wraz z oprogramowaniem, 2 projektory multimedialne oraz urządzenie wielofunkcyjne).

Niech służy jak najlepiej w realizacji celów edukacyjno-wychowawczych i zadań statutowych szkoły.

DOBRY ROK

O mijającym 2017 roku i planach na przyszłość rozmawiamy z Wiceprezesem KOM-EKO S.A.

Ireneuszem Zimochem

ADAM PRZYSTUPA

Dobiega końca rok 2017, jaki był dla KOM-EKO?

Wchodząc w rok 2017 wydawało się, że będzie to rok spokojny, zwłaszcza że poprzedni był dość burzliwy ze względu na istotne postępowania przetargowe oraz akwizycję firm w Kraśniku. W biznesie jednak, jak często powtarzamy, jedyną pewną i stałą rzeczą jest ciągła zmiana. Tak też było w roku 2017. Jeśli chodzi o aspekt finansowy działalności Kom-Eko to na pewno mijający rok będzie słabszy niż lata poprzednie z tego względu, że jesteśmy związani stałymi umowami w zakresie przychodów, a niestety nastąpił niespodziewany co do rozmiarów wzrost kosztów działalności. Mam tutaj na myśli głównie znacznie wyższe koszty w zakresie zagospodarowania produkowanego przez nas paliwa alternatywnego, wyższe od planowanych koszty wynagrodzeń. Dodatkowo wysoki kurs Euro powoduje, że zakupy inwestycyjne w postaci pojazdów specjalistycznych czyli śmieciarek, ładowarek, zamiatarek oraz urządzeń w zakładzie przetwarzania takich jak choćby rozdrabniacze są bardzo kosztowne. W kwestiach operacyjnych rozpoczęliśmy realizację umów w zakresie utrzymania Placu Litewskiego, rozbudowaliśmy biuro obsługi klienta wraz z przeniesieniem działów logistyki i oczyszczania. Nabyliśmy również dodatkowy grunt przy zakładzie na Metalurgicznej, który obecnie utwardzamy i planujemy na nim organizację funkcji socjalnych oraz inwestycje w linię do doczyszczania odpadów remontowo-budowlanych, a także zmiany w zakresie przetwarzania odpadów wielkogabarytowych. Dużym wyzwaniem w 2017 roku była reorganizacja grupy Ekoland, która po przejęciu przez Kom-Eko w 2016 roku wymagała dalszych zmian zarówno operacyjnych, osobowych oraz organizacyjnych. Obecnie w skład grupy Ekoland której właścicielem jest Kom-Eko wchodzi spółki Ekoland Polska SA, której głównym przedmiotem działalności jest prowadzenie RIPOK w postaci instalacji przetwarzającej odpady wraz ze składowiskiem odpadów komunalnych, Ekoland Sp. z o.o., która jest spółką logistyczną w zakresie odbioru odpadów i oczyszczania, oraz spółka Eko-Azbest specjalizująca się w utylizacji azbestu. Cała grupa po restrukturyzacji prowadzi działalność niezależnie od Kom-Eko.

Minione dwanaście miesięcy to również kolejny rok aktywności w KOM-EKO funduszu Royalton Partners...

Tak, to prawda. To już 6 lat od momentu kiedy w listopadzie 2011 roku dotychczasowy właściciel Kom-Eko sprzedał udziały w Spółce do Funduszu Inwestycyjnego Royalton Partners. Warto tutaj nadmienić, że często Fundusz inwestycyjny postrzegany jest jako jakiś bliżej nieznaną wehikuł inwestycyjny, ale stoją za tym stabilne europejskie instytucje takie jak m.in. Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju (EBOR) oraz Europejski Fundusz Inwestycyjny działający przy Europejskim Banku Inwestycyjnym.

Czy są przewidywane jakieś zmiany w strukturze właścicielskiej?

Nie odkryję chyba tutaj również tajemnicy, jeśli powiem, że rozmawiamy z potencjalnymi inwestorami w celu pozyskania dodatkowego finansowania. Od początku inwestycja w Kom-Eko była traktowana jako pierwszy krok do dalszego rozwoju w segmencie zagospodarowania odpadów oraz świadczenia innych usług, jako baza dla ekspansji nie tylko w województwie lubelskim, ale również w innych regionach naszego kraju. Inwestycja w Kraśniku była pierwszym istotnym krokiem w tym kierunku.

Można pokusić się o stwierdzenie, iż branżę szeroko pojętych usług komunalnych charakteryzują ciągle zmiany w systemie prawnym. W najbliższym czasie czeka nas m.in. gruntowna zmiana w systemie selektywnej zbiórki odpadów. Traktujemy ją jako szansę?

Jak już powiedziałem rzeczą stałą w biznesie są zmiany i tak jest również tym razem. Wydawało się, że rewolucja w gospodarce odpadami, jaką doświadczyliśmy w 2013 roku zabezpieczyła i stabilizuje na dłuższy okres tą sferę działalności. Nic bardziej mylnego - wraz ze zmianą rządów, pojawiają się kolejne wyzwania. Tym razem dotyczą one selektywnej zbiórki odpadów i obowiązku dalszego rozdzielania frakcji selektywnych na kolejne grupy czyli tworzywa, papier tektura, szkło, odpady bio, zmieszane, budowlane, wielkogabarytowe, zielone itd. Traktujemy to przede wszystkim, jako ogromne wyzwanie, któremu chcemy sprostać. Wiąże się to zarówno z rozstawieniem nowych pojemników we wskazanych w rozporządzeniu kolorach, ponownym opracowaniu logistyki zbiórki odpadów, jak również z doczyszczaniem zebranych frakcji w naszej instalacji. W perspektywie 2-3 letniej planujemy również istotną modernizację zakładu przy ul. Metalurgicznej, która wiązać się będzie z przesunięciem potencjału zakładu z zagospodarowywania frakcji zmieszanych w kierunku zagospodarowania frakcji opakowaniowych. Celem jest osiągnięcie wymaganych poziomów recyklingu surowców wtórnych. Wdrożenie nowego systemu w Lublinie od lipca 2018 roku będzie ogromnym wyzwaniem zarówno pod względem operacyjnym jak i finansowym. Do końca czerwca 2018 wiązać nas zawarte w 2016 roku umowy. Nowe warunki przetargów nie są jeszcze znane, a czas na przygotowanie się zarówno w zakresie pojemników oraz pojazdów jest coraz krótszy.

Gospodarka odpadami choć główna, to nie jedyna dziedzina aktywności KOM-EKO?

Bardzo ważne są dla nas również linie biznesowe odpowiedzialne za utrzymanie czystości, roboty drogowo-budowlane oraz utrzymanie zimowe dróg. Są one komplementarne do naszej głównej działalności, wnoszą istotną wartość dodaną. Planujemy kontynuowanie działalności w tych obszarach, dokonujemy inwestycji w dużej części usprawniających procesy stąd zakupy zamiataarki miejskiej czy samojezdnego odkurzacza. Jeżeli mówimy o zakładzie robót drogowych podkreślić należy, że jego zaangażowanie w działalność związaną z zimowym utrzymaniem dróg pozwala na pracę w stałym składzie osobowym, gdyż zakres świadczonych usług jest całoroczny a nie sezonowy. Stabilny i zaangażowany zespół współpracowników to jeden z filarów każdej działalności.

Czyli najważniejszym kapitałem spółki działającej w sektorze usług są jej pracownicy...

Tak, na pewno bardzo ważnym. To pracownicy zwłaszcza w sferze usług publicznych reprezentują firmę na zewnątrz i stanowią o jej wizerunku. Naszym pracownikom na pewno należą się ogromne podziękowania za ich zaangażowanie i profesjonalizm. Często otrzymujemy sygnały z rynku, podziękowania w sytuacjach, gdy oprócz swoich zadań często wykonują prace dodatkowe na życzenie mieszkańców czy współpracujących firm i instytucji. Dlatego też staramy się w miarę możliwości zapewnić naszym pracownikom możliwie najwyższy komfort i satysfakcję z pracy.

Korzystając z okazji chciałbym w imieniu zarządu złożyć wszystkim pracownikom naszych firm życzenia pogodnych i rodzinnych Świąt, zimowej i śnieżnej atmosfery, oraz zdrowia i wszelkiej pomysłowości w nadchodzącym 2018 roku.



Boże Narodzenie tradycje i symbole

Boże Narodzenie to dla wielu z nas czas rodzinnych spotkań. A tradycja uroczystej wieczerzy, która rozpoczyna świętowanie jest bardzo mocno zakorzeniona w polskich domach. Obyczaj ten zauważono i zapisano już w XVII w., choć przypuszcza się, że był praktykowany już dużo wcześniej. Jego istotnym elementem jest zachowanie postu. Słowo „wigilia” pochodzi od łacińskiego „vigiliare” i oznacza „nocne czuwanie”.

Wieczereę poprzedza przygotowanie choinki, jak też domowej szopki. Pod białym obrusem kładzie się kilka żdźbeł siana. Do stołu zasiada się po ukazaniu pierwszej gwiazdy na niebie. Uczestnicy kolacji dzielą się białym opłatkiem, składają życzenia, wybaczają wzajemne urazy. Przyjęło się pozostawienie wolnego nakrycia przy stole dla niespodziewanego gościa lub też symbolicznie dla Chrystusa. Tradycyjnie podaje się dwanaście potraw. Po skończonej wieczerzy śpiewa się kolędy i obdarowuje prezentami.

CZYTANIE PISMA ŚWIĘTEGO - Jedną z najważniejszych czynności, jakie powinniśmy uczynić przed wieczerzą wigilijną jest przeczytanie fragmentu Pisma Świętego Ewangelii wg św. Łukasza (Łk 2, 1-14).

SIANO WIGILIJNE - powszechnie zachowywany jest zwyczaj wkładania siana pod obrus na stół, przy którym będzie spożywana uroczysta wieczerza wigilijna. Przypomina on nam o ubóstwie groty betlejemskiej i Maryi, która złożyła narodzonego Chrystusa na sianie w żłobie.

TRADYCYJNE POTRAWY - ilość potraw podawana na stół wigilijny bywa różna. Aleksander Bruckner w słowniku etymologicznym języka polskiego pisał, że wieczerza chłopska składała się z pięciu lub siedmiu potraw. Bogatsi,

a więc przedstawiciele szlachty, przygotowywali na świąteczny stół dziewięć potraw, natomiast arystokraci - jedenaście. Siedem to symbol dni tygodnia, zaś dziewięć oznacza liczbę chórów anielskich. Liczba dwanaście okazała się wyjątkiem od reguły, jednak jej symbolika jest równie ważna - chodzi bowiem o dwunastu apostołów.

Dzisiaj jest zwyczaj podawania dwunastu potraw. Są to na ogół: zupa rybna lub barszcz, ryby różne z tradycyjnymi przyprawami, groch, grzyby, kluski z makiem, owoce świeże, suszone lub gotowane.

WOLNE MIEJSCE PRZY STOLE - wolne miejsce przy stole w czasie wieczerzy wigilijnej jest „przeznaczone dla przygodnego gościa, którego w ten sposób traktuje się rodzinnie”. Pozostawiając wolne miejsce przy stole, wyrażamy serdeczną pamięć o naszych bliskich i drugich, którzy nie mogą spędzić świąt razem z nami. Wolne miejsce przy stole oznaczać może również zmarłego członka rodziny.

PIERWSZA GWIAZDA - na pamiątkę gwiazdy betlejemskiej, o której mówi św. Mateusz, a którą gdy ujrzeli Mędrcy, „bardzo się uradowali”, w Polsce rozpoczyna się uroczysta wieczerza, gdy ukaże się pierwsza gwiazda na niebie. Jest to bardzo stary zwyczaj przestrzegany do dnia dzisiejszego.

OPŁATEK WIGILIJNY - najważniejszym i kulminacyjnym momentem wieczerzy wigilijnej jest obrzęd łamania się opłatkiem. Następuje po modlitwie i złożeniu sobie życzeń, a więc na samym początku wieczerzy. Dzielenie się opłatkiem oznacza wzajemne pojednanie się jednych a drugich uczy, że ostatni nawet kawałek chleba należy podzielić z bliskim, zbliża oddalonych,

łączy umarłych z żywymi. „Wyciągnięta dłoń z okrucieństwem sięga po rzeczywistość”. Ten tak bardzo rozpowszechniony i głęboko od wieków zakorzeniony w kulturze polskiej obrzęd jest otwarciem „serca sięgając krańców świata miłość”. Zwyczaj pochodzi z początków XIX wieku. Dawniej oprócz tradycyjnych opłatków, wytwarzanych z praśnego ciasta, chleba i wody, były również kolorowe opłatki. Tymi ostatnimi dzielono się ze zwierzętami. Kulturowanie tego zwyczaju miało je chronić od zapadania na rozmaite choroby.

SZOPKA LUB ŻŁOBEK - zwyczaj ustawiania z figurek sceny Bożego Narodzenia zwanej „Szopką” lub też choćby żłobka z sianem i leżącą w nim figurką Dzieciątka Jezus sięga roku 1223. W tym to roku miało miejsce pamiętne świętowanie Bożego Narodzenia zorganizowane przez św. Franciszka z Asyżu, jako pierwsze w historii w miejscowości Greccio. Mała, nikomu dotychczas nieznaną osadę stała się nowym Betlejem, kiedy to w obszernej grocie wymytej ze skał wulkanicznych, należącej do szlacheckiego rycerza i przyjaciela św. Franciszka imieniem Giovanni Velita, została urządzona pierwsza szopka. Z Greccio, która stała się jakby nowym Betlejem, żywe wyobrażenie żłobka, owoc serca Świętego, potrafiącego wcielać z życie najsubtelniejszą poezję, rozprzestrzenił się na całą Italię, na Europę i na cały świat. Zachował jedną nie naruszoną - mimo różnicy kultur i folkloru - swą zasadniczą treść, treść autentycznie ewangeliczną, która według pragnień Franciszka powinna była dotrzeć do wszystkich kontemplujących żłobek - szkołę prostoty, ubóstwa i pokory.

CHOINKA - w wigilię Bożego Narodzenia niemal każda polska rodzina umieszcza w swoim mieszkaniu i dekoruje choinkę, zwana w Zachodniej Europie drzewkiem bożonarodzeniowym, czy też drzewkiem Chrystusa. Choinka, jako stojące drzewko jest pochodzenia niemieckiego. W Niemczech pojawiła się prawdopodobnie w XV wieku. Choinka, jako pozostałość jodełki, małej sosny lub świerku zawieszona u sufitu czubkiem ku dołowi. Znano też zwyczaj również „ubieraniem sadu”. Tak jodła jak i choinka mają to samo źródło pochodzenia. Wywodzą się od aryjskiego „drzewa życia”, którego ślady w sztuce lub obyczajowości znajdziemy wszędzie. Choinka,

która przywodzi nam na myśl „drzewo życia”, jest symbolem na wskroś chrześcijańskim. W Polsce choinki zaczęliśmy dekorować dopiero na przełomie XVIII i XIX. Choinkę powinno się ubierać dopiero 24 grudnia. Jej poszczególne elementy także mają swoją symbolikę: światelka to znak przyjscia Chrystusa na świat, ozdoby są symbolem łaski Bożej, łańcuch to symbol węża-kusiciela, a jabłka - grzechu. Zwyczaj zdobienia choinki przez długi czas nie był aprobowany przez przedstawicieli Kościoła Katolickiego, którzy za symbol Narodzenia Pańskiego uznawali szopkę. Zmieniło się to pod koniec XIX wieku. Dzisiaj w katolickich domach dominują raczej drzewka świąteczne.

SNOPY ZBOŻA - spotyka się jeszcze dzisiaj na wsi zwyczaj, że przed wieczerzą wigilijną przynosi się do mieszkania snop zboża i umieszcza się w kącie pokoju. Zwyczaj ten istniał dawniej w całej Polsce. Jeszcze w I połowie XIX wieku był przestrzegany, że „nie siadano do wigilii bez snopów żyta po rogach komnaty stołowej ustawionych”. W okolicach Przemyśla zwyczaj ten miał nawet swój ceremoniał: „We dworze, karbowy przynosił z dworskich gumien cztery snopy do pokoju jadalnego z życzeniami wesołych świąt; pan domu łamie się z nim opłatkiem i częstuje go miodem. Po czym karbowy stawia w jednym kącie pokoju snop pszenicy, w drugim snop żyta, w trzecim snop jęczmienia, a w czwartym snop owsa lub wiązkę grochu lub koniczyny”.

Wdzięczni za okazywaną życzliwość i wkład w tworzenie Lubelskiej Pieszej Pielgrzymki na Jasną Górę Dyrekcji i Pracownikom KOM-EKO składamy serdeczne życzenia.

W tych wyjątkowych dniach Świąt Bożego Narodzenia, życzymy aby Chrystus, który rodzi się w Betlejem narodził się w sercu każdego człowieka przepełniając nas Miłością i Pokojem.

Niech w nadchodzącym Nowym 2018 Roku szczęście i pomyślność nigdy Państwa nie opuszczą, a wiara codziennie dodaje sił i energii do realizacji nowych pomysłów.

**Zespół redakcyjny
Lubelskiej Pielgrzymki Pieszej**

Zima nas nie zaskakuje



Jeśli w internetowej wyszukiwarce wpisujemy frazę „zima zaskoczyła drogowców”, w ułamku sekundy otrzymamy blisko 47 000 wyników. Kto żyw sięga po tę wyświechtaną zbitkę słów, często niestety popisując się zwykłą ignorancją. O tym jak wygląda praca ludzi odśnieżających nasze ulice rozmawiamy z Piotrem Kwietniem – Kierownikiem Zakładu Robót Drogowych KOM-EKO S.A.

Od kiedy tak naprawdę rozpoczynają się przygotowania do sezonu zimowego?

Zacznijmy od tego, że w ramach umowy na zimowe utrzymanie ulic i ciągów pieszych zawartej między KOM-EKO a miastem, okres zimowy trwa od 1 listopada do 31 marca. To czas pełnej gotowości do podjęcia akcji w trybie czuwania i w pełnej gotowości sprzętu. Sam sprzęt jest przygotowywany w październiku. Praktycznie przez cały miesiąc. Musimy go odświeżyć, sprawdzić poprawność działania piaskarek i pługów. W ostatnich dniach października podstawiamy sprzęt do montowania czujników GPS. Miasto obliguje nas do tego, by mieć pełny monitoring – zakładany jest czujnik GPS, czujnik posypu i czujnik pługa. Zamawiający wie nie tylko gdzie sprzęt odśnieżający się znajduje, ale również jakie czynności wykonuje, czy jego pług jest opuszczony czy podniesiony i czy jest wykonywane posypywanie czy nie. Czujniki są montowane do końca października, więc od 1 listopada Zarząd Dróg i Mostów w Lublinie i wykonawca są przygotowani w każdej chwili do podjęcia czynności. Natomiast moment podjęcia akcji jest uzależniony od warunków atmosferycznych. Decyzję o jej rozpoczęciu podejmuje wykonawca. Według umowy wykonawca ma obowiązek monitorować stan pogody, monitorować warunki na drogach i podejmować samodzielnie akcję odśnieżania.

Codziennie sprawdzasz prognozę pogody?

W praktyce wygląda to w ten sposób, że zgodnie z umową, z czego się skrzętnie wywiązujemy codziennie wysyłamy mailem zamawiającemu prognozę pogody na dziś i jutro. Jest to gwarancja, że zarówno my jak i zamawiający monitorujemy sytuację. Zarząd Dróg i Mostów może nas poprosić o wysłanie piaskarek zanim jeszcze nastąpi pogorszenie warunków w ramach akcji profilaktycznej. Natomiast już w godzinach popołudniowych czy nocnych, w weekendy czy dni wolne od pracy o rozpoczęciu akcji decydują sami wykonawcy, oczywiście informując o tym zamawiającego. Zamawiający w dni powszednie ustalił u siebie dyżury od godz. 6.00 do 21.00. Tam mieszkańcy mogą zgłaszać zapotrzebowania w zakresie odśnieżania ulic, które nie zostały objęte wykazem odśnieżania.

Wykazem odśnieżania, czyli...

Zarząd Dróg i Mostów podzielił Lublin na osiem sektorów. KOM-EKO obsługuje trzy z nich (III, V i VIII). W sektorach ulice podzielono na kategorie, standardy odśnieżania. Na drogach pierwszej kolejności odśnieżania w ciągu 4 godzin od ustania opadów śniegu oraz 2 godzin od wystąpienia gołoledzi jezdni ma być czarna i mokra. Na drogach drugiej kolejności odśnieżania śliskość pośniegowa winna być zlikwidowana w ciągu 5 godzin, natomiast w trzecim standardzie gdzie śliskość winno się zlikwidować w ciągu 6 godzin

dopuszcza się warstwę zajeżdżonego śniegu.

I w takiej kolejności ulice są odśnieżane?

Akcja podejmowana jest równocześnie na drogach oczyszczanych we wszystkich standardach. Oczywiście istnieją tzw. punkty zapalne, czyli jakieś góry, podjazdy czy drogi o podwyższonej dopuszczalnej prędkości, tam staramy się w pierwszej kolejności wysłać sprzęt, ale akcję podejmujemy jednocześnie, bo np. trzeci rejon odśnieżamy innym sprzętem. Pierwszy, drugi standard dużymi piaskarkami, natomiast trzecia kategoria to małe piaskarki, solarki, ciągniki opłuzone, ciągniki z posypywarkami. Duża część ulic lokalnych, osiedlowych nie jest ujęta w harmonogramie. Te ulice odśnieżamy tylko na zgłoszenie zamawiającego.

Jaką ilość sprzętu trzymasz w pogotowiu?

Dla obsługi sektorów miejskich mamy 13 dużych samochodów solarek, wyposażonych w pługi obrotowe i posypywarki, oraz 5 ciągników opłuzonych z ciągnionymi posypywarkami, na które ładujemy mieszankę piaskowo-solną. Tymi ciągnikami odśnieżane są ulice trzeciej kolejności bądź te zgłaszane przez mieszkańców. W odwodzie pozostaje jeden ciężki opłuzony samochód i dwa ciągniki z posypywarkami, którymi świadczymy usługi odśnieżania na podmiotach komercyjnych. Materiał mamy zawsze zgromadzony już przed sezonem w granicach 400-500 ton soli na początek zimy.

No właśnie, czym posypywane są nasze ulice?

Do zwalczania śliskości wykorzystywane są przede wszystkim sól drogową i mieszanina soli drogowej z piaskiem. Przy dużym spadku temperatur poniżej 10 stopni dodajemy jeszcze chlorek wapnia. Chlorek wapnia podczas rozpuszczania się powoduje wytworzenie dodatkowego ciepła, przez co szybciej uzyskujemy efekt rozpuszczenia gołoledzi, śniegu czy lodu.

Pracujecie 24 godziny na dobę

Pracujemy 7 dni w tygodniu, 24 godziny na dobę.

Jak wygląda taki dyżur?

Mamy dwa rodzaje dyżurów. Jeden to jest dyżur domowy, drugi to dyżur stacjonarny w firmie. Kiedy mam informacje pogodowe, z których wynika, że jest prawdopodobieństwo wystąpienia opadów śniegu, to ściągamy kierowców na dyżur stacjonarny na ul. Wojenną. Są w pogotowiu, mają do dyspozycji ogrzewane pomieszczenia

socjalne, czekają na sygnał by rozpocząć pracę. Kiedy nie ma przesłanek ku temu, że coś się będzie działo, to część kierowców ma wolne, a część jest na dyżurze domowym, gotowi do podjęcia czynności po powiadomieniu telefonicznym. W takich sytuacjach na dyżurze jest kierownik, albo jego zastępca czy mistrz, który całodobowo prowadzi nadzór. Jeśli coś tylko zaczyna się dziać, jest czas, aby tych kierowców ściągnąć. To samo dotyczy pracowników oczyszczających chodniki.

Jak długo trwa dyżur?

Dwanaście godzin. Rozsypanie ładunku soli czy mieszanki, która jest na samochodzie zajmuje kierowcy około 3 godzin. W tym czasie pokonuje trasę długości około 50 km. Po wysypaniu zjeżdża, ma praktycznie godzinę przerwy, w czasie której musi załadować ponownie samochód, coś zjeść, wypić herbatę. Podczas dyżuru to są maksymalnie trzy wyjazdy, czyli 9 do 10 godzin czystej jazdy.

Czasem pewnie spotykacie się z niezrozumieniem ludzi, którzy nie wiedzą jak wygląda wasza praca i chcieliby efektów już, zaraz, natychmiast...

Niestety, trzeba sobie zdać sprawę, że choć na rejonie pracuje pięć samochodów to odśnieżenie i posypanie całego sektora o powierzchni ulic rzędu 580 000 m i średniej ich długości rzędu 165 km trwa około trzech godzin. W momencie, kiedy występuje np. oblodzenie wszystkie samochody jeżdżą bardzo powoli, bardzo ostrożnie. Wystarczy jakaś stłuczka, ulice zaczynają się korkować i w wiele miejsc po prostu nie można dojechać. Kierowcy frustrują się, że jest ślisko, ale mało kto ustępuje miejsca piaskarce. I wtedy jest kłopot. Pomocne bywa CB radio, przez które kierowcy wymieniają się uwagami o warunkach na drodze. Dlatego, jeśli jest taka możliwość próbujemy przewidzieć takie sytuacje i razem z Zarządem Dróg i Mostów prowadzone są akcje profilaktyczne. Natomiast niejednokrotnie są to zdarzenia nieprzewidywalne, nieopisane w prognozach.

Wasza praca to także miłe chwile...

Miłe słowa, maile. Ludzie dzwonią do nas z prośbą o pomoc i często są miłe zaskoczeni zwłaszcza w sobotę, niedzielę. Widzą, że ten sprzęt jest, że to wszystko działa i funkcjonuje. To bardzo miłe chwile.

Nim zaczniesz segregować

Zawsze warto odpowiedzieć sobie na pytanie, czy na pewno to, co chcemy kupić będzie nam użyteczne.

Czekamy. Jeszcze kilka miesięcy i ze względu proceduralnych również w Lublinie staną przed posesjami rządy kolorowych pojemników. Ile ich będzie? Wedle ministerialnych wytycznych, co najmniej cztery: niebieski na papier, zielony na szkło, żółty na tworzywa i metal, wreszcie brązowy na odpady biodegradowalne. Jeśli miałbym służyć podpowiedzią zastępowalnym jeszcze jeden dodatkowy na selek-

I od tego w zasadzie winniśmy zacząć. Ekologia to przecież domena ludzi logicznie myślących a za takich przecież chcielibyśmy uchodzić. Nim więc przez lata przyzwyczajeni do segregacji odpadów z podziałem na suche i zmieszane zacznemy zastanawiać się jak zmierzyć się z koniecznością wygospodarowania w domu lub jego obejściu miejsca na kilka dodatkowych pojemników zadajmy sobie podstawowe pytanie – czym są śmiecie?

Wiem, nie każdy lubi zagłębiać się w gąszcz paragrafów, aktów czy ustępów. Zwłaszcza ustępów, bo amatorzy aktów pewnie by się znaleźli. Czasami jednak warto się przełamać i doczytać, iż wedle zapisów ustawy za odpady winniśmy uważać każdą substancję lub przedmiot, których posiadacz pozbywa się, zamierza się pozbyć lub do których pozbycia się jest obowiązany. Jeśli więc chcemy się czegoś pozbyć należy domniemy-



tywnie zbierane odpady zielone. Na trawę, liście, drobne gałęzie. Dlaczego? Bo wtedy w brązowym pojemniku znajdują swe miejsce odpady kuchenne, które poddajemy odzyskowi w zgoła inny sposób niż odpady roślinne. Jeśli zmieszamy te dwie frakcje na nic nasze wysiłki by z liści i trawy wytworzyć czysty, ekologiczny nawóz. A przecież, jeśli coś robić, to dobrze i z głową.

wać, iż jest to nam niepotrzebne. To normalne, rzeczy się psują, zużywają, przestają podobać. Jednym słowem to my sami swoim postępowaniem decydujemy, co jest a co nie jest odpadem. Niby to oczywiste, a jednak...

Kiedy rozmawiam o śmieciach z osobami, które ten problem dotyka jedynie w domu a nie są skażone tym zagadnieniem z racji wykonywanego

zawodu, słyszę jak bardzo są zdziwieni ich ilością. Towarzyszyły im od zawsze, ale zwracać uwagę na skalę problemu zaczęli w istocie dopiero od czasu, gdy dali się namówić na ich segregowanie. To rzecz jasna sprawa objętości selektywnie gromadzonych odpadów. Można ją potraktować jako kłopot i niedogodność, ale można też zgoła inaczej - jako punkt wyjścia do innego spojrzenia na śmiecie. Co zrobić by było ich mniej? Może, jeśli jak już ustaliliśmy, to my sami decydujemy o ich wytwarzaniu, czynić to rzadziej? Nie bez powodu określając hierarchię postępowania z odpadami na pierwszym miejscu zwykło się stawiać zapobieganie ich powstawaniu.

Łatwo powiedzieć, nie śmiecić. To polecenie, które zwykliśmy kierować do dzieci beztrósko rzucających na ziemię papierki po lodach czy cukierkach. Sami rzecz jasna nigdy nie uciekniemy od wytwarzania odpadów, ale jeśli spróbujemy możemy ich ilość ograniczyć. Sposobów jest kilka:

Przemyślmy nasze zakupy. Choć to nie łatwe odwiedzając sklepy nie kierujemy się nagłym impulsem. Zawsze warto odpowiedzieć sobie na pytanie, czy na pewno to, co chcemy kupić będzie nam użyteczne. Przypomnijmy sobie, jak wiele z rzeczy, których się pozbywamy podczas domowych porządków (najczęściej przy okazji remontów) okazuje się być prawie nieużywane. Często opróżniając strychy czy piwnice odnajdujemy rzeczy, których brak nam w istocie nie doskwierał. I jeszcze jedno – od lat obserwuję nasze śmieci z perspektywy zakładu zagospodarowania odpadów – nie uwierzcie jak wiele jest wśród nich przeterminowanej żywności i leków.

Decydując się na zakup wybieramy produkty trwałe, dobrej jakości, zaprojektowane z myślą o ponownym użyciu.

Próbujmy ograniczyć ilość kupowanych opakowań – na codziennych zakupach próbujmy zastępować jednorazowe reklamówki z tworzyw sztucznych torbami wielorazowego użytku. Jeśli zadamy sobie odrobinę trudu, znajdziemy i takie, które będą nie tylko ekologiczne i trwałe, ale również gustowne i stylowe.

Kupując żywność i napoje starajmy się wybierać te w opakowaniach zwrotnych.

Kupując baterie, w miarę możliwości decydujemy się na te nadające się do doładowania a nie baterie jednorazowe.

Jeśli nie jesteście zainteresowani nie przyjmujcie korespondencji i ulotek reklamowych, które za chwilę i tak wyrzucicie do kosza na śmiecie

Jeśli coś się zepsuło, spróbuj to naprawić – trudna rada, zważywszy, iż nie każdy z nas posiada takie umiejętności, a i czasu pewnie nie staje. Mam oczywiście świadomość, iż często koszt naprawy przewyższa cenę zakupu nowego przedmiotu a wiele firm dba o to by stymulując popyt na swoje produkty ograniczać ich żywotność. Daleko im do słynnej żarówki Shelby Electric, która od 1901 roku służy strażakom w kalifornijskim Livermore.

Jeśli chcesz się czegoś pozbyć, zamiast wyrzucać do śmietnika oddaj potrzebującym. Mogą to być organizacje prowadzące działalność charytatywną, ale równie dobrze może to być twój sąsiad. Na zachodzie Europy emanacją tej idei są m.in. tak zwane GIVEBOXy w formie mebli miejskich umożliwiających anonimowe i bezpłatne pozostawienie niepotrzebnych przedmiotów użytkowych. Zdaję sobie oczywiście sprawę, iż w polskich warunkach gros wyrzucanych rzeczy jest często w stanie, który nie zachęca ani nie umożliwia ich ponowne użycie, ale próbować warto. Podobnym zachowaniem jest również tak zwany bookcrossing, czyli idea nieodpłatnego przekazywania przeczytanych książek poprzez pozostawianie ich w miejscach wyznaczonych w tym celu w przestrzeni publicznej. Osobiście wychodzę z założenia, że nie można mieć za dużo książek a jedynie za mało przeznaczonych na nie półek, ale musząc się z częścią z nich rozstać miast na makulaturę oddaliśmy je do pobliskiej biblioteki.

Lista to oczywiście nie pełna, i pewnie niedoskonała. Ale warto próbować...

DAROWIZNA

Chciałbym przepisać mieszkanie i samochód na syna. Bardzo proszę o poradę jak to zrobić, oraz jakie muszę w związku z przepisaniem zapłacić podatki.

Imię i nazwisko znane redakcji

W przypadku gdy rodzice chcą nieodpłatnie wesprzeć swoje dziecko i przekazać należący do nich składnik majątkowy, dogodnym sposobem realizacji tego celu będzie zawarcie umowy darowizny.

Darowizna jest umową cywilnoprawną, w której darczyńca zobowiązuje się do bezpłatnego świadczenia na rzecz obdarowanego, kosztem swojego majątku. Umowę taką zawieramy w każdym przypadku, gdy postanowimy nieodpłatnie podzielić się naszą własnością, i należące do nas rzeczy przekazać, na przykład najbliższemu członkowi rodziny, nie oczekując w zamian świadczenia wzajemnego. Świadczenie na rzecz obdarowanego może w szczególności polegać na zapłacie pewnej sumy pieniężnej, czy też przeniesieniu określonych praw do majątku obdarowanego, np. prawa własności samochodu, prawa własności nieruchomości. Aby bezpiecznie i skutecznie dokonać darowizny, należy zwrócić uwagę na dopełnienie kilku kwestii formalnych.

Bardzo istotna jest sama forma dokonywanej czynności prawnej, ponieważ co do zasady oświadczenie woli darczyńcy powinno być złożone w formie aktu notarialnego. Przepisy prawa dopuszczają sytuacje, w których umowa darowizny staje się ważna bez zachowania formy aktu notarialnego. Tak się dzieje, jeżeli przyrządzone w umowie świadczenie zostało spełnione – np. darczyńca wydał obdarowanemu przedmiot umowy. Warto wiedzieć, że umowę darowizny samochodu najlepiej sporządzić w zwykłej

formie pisemnej, pod warunkiem wydania samochodu obdarowanemu. W obrocie nie praktykuje się zawierania umów darowizny praw do rzeczy ruchomych (np. samochodu) w formie aktu notarialnego, zamieszczając jednocześnie w umowie zapis o wykonaniu umowy.

Umowa darowizny, przedmiotem której jest nieruchomość, należy również do często stosowanych form przeniesienia prawa własności na rzecz członków najbliższej rodziny. O czym należy pamiętać, zawierając umowę darowizny nieruchomości? Przede wszystkim trzeba zwrócić uwagę, na formę dokonywanej czynności. Darowizna nieruchomości (działki, domu, mieszkania, lasu, gospodarstwa rolnego) musi być sporządzona w formie aktu notarialnego. Nie zachowanie tej formy spowoduje nieważność dokonanej czynności prawnej. Podpisanie umowy przed notariuszem daje gwarancję stronom, że sporządzony dokument spełnia wszelkie wymogi formalnoprawne. Zawarcie umowy darowizny prawa własności nieruchomości w formie aktu notarialnego jest obligatoryjne i pociąga za sobą obowiązek uiszczenia opłat, takich jak: taksa notarialna wraz z należnym podatkiem VAT oraz opłata sądowa za wpis w księdze wieczystej, a w przypadku darowizny dla osób z dalszej rodziny i osób obcych, podatek od darowizny.

Sama umowa darowizny powinna zawierać pewne istotne elementy, takie jak data i miejsce zawarcia umowy, oznaczenie darczyńcy i obdarowanego, oświadczenia darczyńcy o posiadaniu

prawa własności przedmiotu darowizny i o braku obciążeń oraz innych ograniczeń w rozporządzaniu. Należy również zamieścić oświadczenie o przekazaniu darowizny przez darczyńcę i jej przyjęciu przez obdarowanego. Trzeba też określić termin wydania przedmiotu darowizny lub zamieścić zapis o wykonaniu umowy. Umowę najlepiej sporządzić w dwóch egzemplarzach – na każdym musi widnieć podpis obdarowanego i darczyńcy.

Dokonując darowizny domu czy mieszkania, w którym zamierzamy zamieszkiwać do śmierci, warto zastrzec na swoją rzecz służebność osobistą polegającą na prawie nieodpłatnego zamieszkiwania w domu albo mieszkaniu i dopilnować, aby służebność ta została wpisana do księgi wieczystej, o co powinien zadbać notariusz. Koszt wpisu takiej służebności do księgi wieczystej jest stosunkowo niewielki (200 zł), a daje nam pewność, że ktokolwiek by nie był właścicielem domu albo mieszkania, będzie musiał liczyć się z tym, że mamy prawo w nim dożywotnio mieszkać.

Niezwykle ważną i interesującą strony umowy darowizny sprawą jest możliwość uzyskania zwolnienia od podatku od darowizn, przy spełnieniu określonych warunków: stronami umowy darowizny muszą być najbliżsi członkowie rodziny (małżonek, rodzice, dziadkowie, dzieci, wnuki, pasierbowie, ojczym, macocha i rodzeństwo), oraz darowizna musi być zgłoszona do właściwego dla obdarowanego urzędu skarbowego w przeciągu 6 miesięcy od dnia powstania obowiązku podatkowego. Zgłoszenia dokonuje się na formularzu SD- Z2: Zgłoszenie o nabyciu rzeczy lub prawa majątkowego. W formularzu podajemy szczegóły dotyczące darowizny, m.in. stopień pokrewieństwa łączący obdarowanego

z darczyńcą, udział procentowy w nabytym majątku i jego wartość rynkową, w przypadku nieruchomości (nieruchomość gruntowa, mieszkanie czy dom) - jej powierzchnię, a w przypadku samochodu - markę, numer rejestracyjny i rok produkcji samochodu. Dodatkowo nadmienię, że w przypadku darowizny środków pieniężnych, istnieje dodatkowy warunek zwolnienia obdarowanego od podatku od darowizn, czyli udokumentowanie transakcji wyciągiem z rachunku bankowego, albo pokwitowaniem przesłania pieniędzy przekazem pocztowym. Jeśli powyższe wymienione warunki nie zostaną przez obdarowanego spełnione, umowa darowizny będzie podlegała opodatkowaniu. Wysokość podatku od darowizny w omawianej sytuacji jest uzależniona od wartości samochodu czy nieruchomości, oraz zaliczenia obdarowanego do określonej przez przepisy prawa grupy podatkowej. Obowiązek zgłoszenia darowizny do urzędu skarbowego nie powstaje, gdy umowę sporządza notariusz w formie aktu notarialnego. W takiej sytuacji to notariusz dokonuje za obdarowanego zgłoszenia umowy organom podatkowym.

W nadchodzącym okresie świątecznym z pewnością warto pomyśleć o darowiznie jako formie zabezpieczenia finansowego naszych bliskich, stanowiącej dogodny sposób zadysponowania częścią własnego majątku, pozbawioną nadmiernych formalności i ponoszenia dodatkowych kosztów podatkowych.

Ewa Banderska
radca prawny

Masz pytanie do naszego radcy prawnego?

Potrzebujesz porady prawnej?

Napisz - odpowiedź opublikujemy

na łamach EKOgadki.

redakcja @ekogadka.pl



FOTO: Redakcja

WIESZCZOWI NA RATUNEK

Lubelscy przedsiębiorcy zaoferowali gotowość renowacji cokołu i figury pomnika.

ADAM PRYZSTUPA

Lublin od Lwowa dzieli raptem 217 kilometrów. Droga niewiele dłuższa niżli do Warszawy, choć ze względu na konieczność przekroczenia granicy czasu zajmuje znacznie więcej. Kiedy w styczniu 2004 podpisano umowę o wzajemnym partnerstwie pisano, iż to partnerstwo będzie trwalsze od innych (poczet miast partnerskich Lublina liczył wówczas 17 miejscowości), bo wyrosło z kontaktów międzyludzkich i gospodarczych.

Rzeczywiście, od kwietnia 2001 ulice Lwowa przemierzały pomarańczowe śmieciarki polsko-ukraińskiej spółki KOM-EKO Lwów, z granatowym napisem „3 думкою про Тебе” nawiązującym do ówczesnego hasła KOM-EKO „Z myślą o Tobie”. Po dwóch latach firma obsługiwała już 30 procent miasta, w tym jego przepiękne, zabytkowe centrum. Wkrótce w ślady KOM-EKO

poszły kolejne lubelskie firmy m.in. Wamac czy Lift Service.

Obecność lublinian we Lwowie miała obok biznesowego, również wymiar czysto ludzki. W 2002 roku KOM-EKO oraz inne lubelskie firmy wraz ze Stowarzyszeniem „Wspólne Korzenie” organizowało akcję pomocy ofiarom katastrofy, jaka miała miejsce podczas pokazów lotniczych we Lwowie (zginęło wtedy 77 osób, a 543 zostały ranne). Kolejne lata to m.in. zakup specjalistycznego sprzętu chirurgicznego czy wspólna organizacja pomocy materialnej dla lwowian w czasie tzw. Pomarańczowej Rewolucji jesienią 2004 roku.

Wróćmy jednak do stycznia 2004. Przy okazji podpisywania umowy partnerskiej pojawił się pomysł by w setną rocznicę odsłonięcia we Lwowie pomnika Adama Mickiewicza wspólnymi

siłami odnowić zabytkowy monument. Lubelscy przedsiębiorcy zaoferowali gotowość renowacji cokołu i figury pomnika, odnowy placu w jego najbliższym otoczeniu oraz wykonania iluminacji. Strona ukraińska, jak pisała ówczesna prasa, przyjęła propozycję „jako gest przyjaźni, daleki od politycznych czy historycznych kontekstów”. Pomniki, wszakże w relacjach Lublina i Lwowa, mają swe miejsce szczególne.

Mieszkańcy Lublina mijający na co dzień pomnik upamiętniający zawarcie Unii polsko-litewskiej nie zdają sobie zapewne sprawy, iż właśnie we Lwowie, w roku 1869 usypano na wzgórzu zwanym Wysokim Zamkiem kopiec na wzgórzu zwanym Wysokim Zamkiem kopiec Unii Lubelskiej. W znajdującym się ówczynie pod austriackim zaborem mieście był on pierwszym pomnikiem, którego powstania inicjowała

polskiego, litewskiego i ukraińskiego narodu. 126 lat później na północno-zachodnim stoku Wzgórza Zamkowego stanął w Lublinie Pomnik Związków ze Lwowem przedstawiający siedzącego lwa, który opiera jedną ze swych łap na tarczy z herbem Lwowa. Pomnik jest kopią rzeźby sprzed Panteonu Chwały na Cmentarzu Łyczakowskim.

Wróćmy jednak do pomnika Adama Mickiewicza, który w 2004 miał zapisać kolejne karty związków Lwowa i Lublina. Na rok przed setną rocznicą urodzin wieszczą 14 listopada 1897 roku, we Lwowie z inicjatywy członka lwowskiego Towarzystwa Literackiego im. Mickiewicza, pisarza i publicysty Adama Krechowickiego zawiązał się komitet budowy pomnika. Na rozpisany w przeciągu kilku miesięcy konkurs, który zakładał by monumentowi nadać kształt kolumny, wpłynęło 28 projektów. Zaczyna komisja, w skład której weszli m.in. rzeźbiarz Cyprian Godebski (autor pomnika Mickiewicza w Warszawie), malarz Jan Styka (współautor „Panoramy Raclawickiej”), profesor Juliusz Makarewicz (autor polichromii na Uniwersytecie Lwowskim i konserwator unikalnych fresków w kaplicy na Zamku Lubelskim) i Zygmunt Gorgolewski (projektant Teatru Wielkiego we Lwowie), ogłosiła swój werdykt 10 grudnia 1898 roku. Pierwszą nagrodę w wysokości 1000 koron przyznano jednogłośnie Antoniemu Popielowi herbu Sulima, profesorowi Politechniki Lwowskiej. Pomnik umyślnie ostatecznie ustawiono na Placu Mariackim, choć rozważano również Wały Hetmańskie i Ogród Jezuicki. Ze względu na trudne warunki geologiczne (tuż obok, w podziemnym kanale przepływa rzeka Pełtvia) pomnik posadziono na trzynastu palach, które po latach zaskoczą prowadzącą renowację lublinian solidnością wykonania.



Plac Mariacki we Lwowie ok. 1942 r. Ze zbiorów NAC.

społeczność, a nie władze. Wedle pomysłodawcy, byłego przewodniczącego parlamentu austriackiego Franciszka Smółki, kopiec wzniesiony w trzechsetlecie zawiązanej w Lublinie unii, miał wbrew zamysłom Habsburgów propagować odrodzenie „idei Jagiellońskiej”, Rzeczypospolitej rozumianej, jako dobrowolna, „braterska” unia

Bo też imponujący to monument. Całość mierzy 21 metrów wysokości a sama figura poety 3,3 metra. Marmur na budowę pomnika sprowadzono z kamieniołomów lombardzkiego Baveno, tych samych, z których czerpano materiał na budowę katedry w Mediolanie czy Bazyliki Papieskiej św. Pawła za Murami. Roboty



Lwów, Kopiec Unii Lubelskiej 1928 r. Ze zbiorów NAC.

kamieniarskie wykonano w warsztacie Wiktorii Schimserowej. Postacie Mickiewicza i unoszącego się nad nim uosobienia geniuszu odlano z brązu w wiedeńskiej firmie Teodora Srpeka. Całość kosztować miała 166 tysięcy koron, z czego 60 tysięcy ofiarowało miasto, 20 tysięcy Sejm Galicyjski zaś pozostałą kwotę zebrano podczas prowadzonej zbiórki.

Kamień węgielny pod budowę pomnika położono w obecności dziesięciu tysięcy mieszkańców 22 maja 1898 roku. Budowa przeciągała się tak, iż nie udało się go odsłonić na stulecie urodzin wieszczka. Na uroczyste odsłonięcie pomnika 30 października 1904 roku, poprzedzone nabożeństwami w katedrze katolickiej, katedrze ormiańskiej i synagodze przybył syn poety, który pisał potem w swych pamiętnikach „W chwilach podobnych koterie polityczne zawierają rozejm, ludzie, nie bacząc na poglądy rozmawiają przyjaźnie. [...] Ale podobnie jak w kościele mniej imponuje wartość artystyczna Pietą niż nabożność tłumu, który modli się u stóp Matki Boskiej, podobnie wobec pomnika mego ojca mniej wzrusza maestria rzeźbiarza, niż skupienie pielgrzymów, którzy mieli trudności do przezwyciężenia, by uczestniczyć w uroczystości zakazanej u nich. Radują się na widok godła narodowych, przemówienia patriotyczne są dla nich wiatykiem na drogę powrotną, a wracają obłożeni zakazanymi

książkami jak pancerzem”.

Przewodniczący komitetu budowy pomnika Bronisław Radziszewski miał powiedzieć, iż „nie rozwali granitu kolumny czas, ni wichery, ani burza”. I rzeczywiście, pomnik przetrwał i Habsburgów, i dwie wojny światowe i blisko pół wieku sowieckich rządów. (W tym ostatnim okresie starano się wymazać z pamięci Antoniego Popiela, przypisując autorstwo pomnika jego pomocnikowi Mychajło Parszczukowi). Czas jednak bywa nieubłagany i zostawia swój ślad nawet w brązie czy na marmurze. Propozycja lublinian ostatecznie przyjęto w lwowskim ratuszu w czerwcu 2004 roku. Niebawem do inicjatywy poczęły przyłączać się inne polskie miasta partnerskie Lwowa. Ostatecznie ustalono, iż Lublin podda renowacji plac i otoczenia pomnika. Prace ukończono przed listopadowymi uroczystościami rocznicowymi. Przepytywany na tę okoliczność przez Kurier Lubelski (14.10.2004 r.) prezes KOM-EKO Wojciech Lutek mówił: „Mamy we Lwowie bardzo mocną pozycję. Znamy tu ludzi, cieszymy się zaufaniem, dlatego wzięliśmy na siebie ciężar wdrożenia całego projektu. Dziś, widząc, że prace już trwają, mam satysfakcję. Wiem, że było warto. Po prostu robimy coś ważnego, ponadczasowego. Jestem pewien, że na kolejne sto lat”.



PREZYDENT MIASTA LUBLIN

Plac Władysława Łokietka 1; 20-950 Lublin; tel. 443-51-37, 443-51-96;
centrala 532-10-11 wew. 137,196; fax 532-36-10
E-mail: prezydent@um.lublin.pl

KP/BPM/III/0720-W/1/12/05

Lublin, 1 czerwca 2005

**Szanowny Pan
Wojciech Lutek
Prezes Zarządu
KOM-EKO**

Szanowny Panie Prezesie,

Serdecznie dziękuję za wsparcie finansowe i wielką pomoc, którą okazał Pan przy renowacji pomnika Adama Mickiewicza we Lwowie. Jestem szczególnie dumny, że lubelscy przedsiębiorcy tak aktywnie i z wielką życzliwością odpowiedzieli na apel odnowy pomnika naszego wieszczka.

Panie Prezesie, Pana postawa to kolejny przejaw otwartości Lublina i Lublinian wobec naszych najbliższych sąsiadów Ukraińców oraz Rodaków mieszkańców Lwowa.

Jeszcze raz serdecznie dziękuję i wyrażam wielką nadzieję, że będzie Pan nadal otwarty na współpracę.

Z poważaniem,

Andrzej Pruszkowski

Prezydent Miasta Lublin

Ekologiczna akcja TRATWA



FOTO: z archiwów prywatnych

A może by tak na tratwie

– słów kilka o edukacji ekologicznej w gospodarce odpadami.

DR ADAM LESIUK

Zakład Technologii Chemicznej - Wydział Chemii UMCS w Lublinie

Selektywna zbiórka odpadów komunalnych w ciągu ostatnich 20 lat przeszła olbrzymie przeobrażenie zarówno w kwestii techniczno-organizacyjnej jak i edukacyjnej. Nikt już nie pamięta pierwszych pojemników z końca lat 90-tych poustawianych tylko dzięki uporowi organizacji ekologicznych oraz samorządów przy dużej pomocy firm zajmujących się gospodarką odpadami. Mimo tych pozytywnych przykładów dotyczących zwłaszcza większych miast w Polsce nadal ponad 98% odpadów trafiało na składowiska odpadów komunalnych. Model gospodarki odpadami w Niemczech czy Francji, gdzie naturalnym było, że dzielimy strumień odpadów komunalnych na frakcje surowców oraz oddzielnie zbieramy odpady niebezpieczne już wtedy był dla nas wzorem do naśladowania. Jednak istniejące prawo, czyli Ustawa z dnia 13 września 1996 r. o utrzymaniu czystości i porządku w gminach oraz Ustawa o odpadach z 1997 roku w żaden sposób nie wpływały na stworzenie skutecznych mechanizmów finansowych sprzyjających rozwojowi selektywnej zbiórki odpadów. System prawny dopiero miał się zmienić (pierwsza Ustawa o opakowaniach i odpadach opakowaniowych

uchwalona w 2001 roku), ale już pod koniec lat 90-tych ubiegłego wieku dużo organizacji ekologicznych zaczęło, mimo wielu trudności w finansowaniu działań, zmieniać nawyki społeczeństwa w zakresie selektywnego zbierania odpadów.

I tak w tych okolicznościach w połowie lat 90-tych grupa studentów kierunku ochrona środowiska na Wydziale Chemii UMCS w Lublinie wpadła na pomysł organizacji, jak się później okazało cyklicznej, imprezy pod nazwą Ekologiczna Akcja TRATWA. Impreza ta dzięki dużej pomocy uczelni i zaangażowaniu studentów odbywała się w latach 1996-2005. Miała ona dość niekonwencjonalny charakter, a mianowicie polegała na spływie tratwami zbudowanymi z odpadowych butelek PET po wielu rzekach w Polsce. Głównym jej celem była właśnie popularyzacja idei selektywnej zbiórki odpadów komunalnych i ich gospodarczego wykorzystania.

W tym przypadku gospodarcze wykorzystanie było zbudowaniem ekologicznego środka transportu tj. tratwy, którą studenci spływali ustalony wcześniej odcinek rzeki (niekiedy ponad 300 km) w założonym czasie (nawet dwa tygodnie spływu). Po akcji butelki PET trafiały do

zakładów, które odyskiwały ten surowiec wtórny. W czasie trwania spływu studenci zaopatrzeni w setki ulotek informujących o celu akcji często ruszali w nadrzeczny „teren” małych miejscowości i wsi głosić „dobrą nowinę” o potrzebie zwrócenia uwagi na fakt, że w masie odpadów komunalnych jest wiele cennych surowców. Nie dość, że się przydadzą do produkcji nowych wyrobów to jeszcze zmniejszy się masa składowanych odpadów. I ta „dobra nowina” była przyjmowana z dużą życzliwością mieszkańców. Sami często wskazywali na problemy lokalne w gospodarce odpadami, które teraz wydają się błahostkami (takie jak brak pojemników do selektywnej zbiórki).

Z niedowierzaniem patrzyli też na tratwę, na której oprócz tzw. kuchni z paleniskiem i jadalni znajdowała się również „szafa” na plecaki, namioty i karimaty oraz część wypoczynkowo-sypialniana. Trudno też było im uwierzyć, że nie było żadnego podpiętego silnika, tylko kilka drągów i wiosł, którymi sterowano tratwą bez żadnych poważniejszych problemów. I żaden samochód jak to ma miejsce na pielgrzymkach za tratwą nie jechał ... chyba że płynął na tratwie. A było to tak W czasie trwania jednego nadbużańskiego spływu odwiedził nas kolega i bardzo chciał popłynąć na tratwie. Przyjechał z Lublina

trabantem i nie bardzo wiedział co z nim zrobić. Po kilkunastu minutach zastanawiania się jak zabezpieczyć pojazd przed niekontrolowaną stratą oznajmił, że już podjął decyzję i wjechał swoją ulubioną „mydelniczką” na tratwę. A że zakrecone butelki mają bardzo dużą wyporność to spędził dwa dni na tratwie w pięknych okolicznościach przyrody oczywiście wzbudzając sensację u wędkarzy przyglądających się z brzegu.

A okoliczności przyrody często były nadzwyczajne bo spływy odbywały się po różnych rzekach (m.in. San, Bug, Biebrza, Narew) i często na terenie Parków Narodowych (np. Narwiański, Biebrzański) i Parków Krajobrazowych. Była to okazja dla wielu studentów na popatrzenie na przyrodę od środka, rozmowę o ochronie przyrody z pracownikami Parków, na co nie zawsze był czas podczas studiów. Dużo nowych doświadczeń praktycznych (pomiarów środowiskowe, czynny udział w sprzątaniu rezerwatów, edukacja ekologiczna najmłodszych mieszkańców) czy obserwacji przyrodniczych kształtowało ich jako „ochroniarzy” co wydało swoje owoce po wielu latach. Obecnie kilku z uczestników spływów jest blisko związanych naukowo z ochroną środowiska i przyrody oraz gospodarką odpadami.



I sądząc po wielu filmach w internecie sam styl uprawiania niekonwencjonalnej turystyki na tratwie z butelek PET przyjął się na dobre. I tylko parafrazując znany cytat klasyka „a może by tak ... na tratwie” życzę spokojnych Świąt Bożego Narodzenia i spełnienia marzeń w Nowym Roku 2018.

Szkockie pożytki z użycia miotły

Używać miotły z zamierzonym skutkiem nie jest wbrew pozorom rzeczą łatwą.

ADAM PRZYSTUPA

Cyklon Grzegorz, zwany nie wiedzieć czemu uparcie orkanem, niemal w dwa dni u kresu października ogołocił okoliczne drzewa z liści. Ścielił się tedy u stóp pastelowy dywan ku zachwytości dzieci i utraپieniu dozorców. Staralem się zrozumieć i jednych i drugich. Idąc ulicą raz po raz odzywał się we mnie kilkulatek i skłaniał by zanurzyć stopy w kolorowych liściach. Po chwili wszakże przychodziło otrzeźwienie i znów statecznie przebierałem nogami. Tymczasem liście, które ktoś wprawnie zagonił miotłą z chodnika na pobliski trawnik zalegały w nastroszonych kopcach.

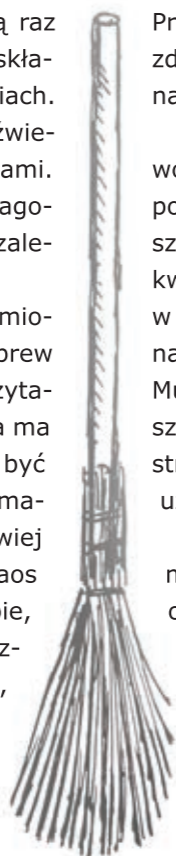
Użyłem słowa „wprawnie”, bo używać miotły z zamierzonym skutkiem nie jest wbrew pozorom rzeczą łatwą. Uśmiechacie się czytając te słowa? Jak każdy przedmiot i miotła ma swoje tajemnice. Nie każdemu zechce być posłuszna. Bynajmniej, nie myślę o niej magicznie, choć wśród Słowian i tak ją drzewiej postrzegano. Śmiecie niosące bezład i chaos w naszym domostwie wymiatamy od siebie, na zewnątrz, z dala od naszego bezpiecznego ułożonego świata, za próg. Za próg, przy którym na straży często ustawiano miotłę. Powie ktoś – nie na straży a z braku lepszego ku temu miejsca. Pewnie tak, ale choć to wszystko tak proste i logiczne, czemu tak wielu ludzi sięgając po miotłę z uporem zamiata śmieci czy liście pod własne stopy? Jak wielu z nas miało z poirytowaniem kogoś, kto miast sprzątać przy pomocy miotły wzbijał tylko wokół tumany

kurzu? Wszystkiego trzeba się nauczyć, choćby prac najprostszych. Pamiętam sympatycznego skądinąd młodzieńca, który zmagając się z tym narzędziem na Zakładzie Zagospodarowania Odpadów zyskał przydomek „Harry Potter”. Przynosił tę umiejętność, choć początkowo ku zdumieniu wszystkich chwycił miotłę oburącz nachwytem.

Zauważyliście, że jesteśmy świadkami powolnego odchodzenia miotły? W internetowych poradnikach dla nowoczesnych pań domu, pisze się wręcz by jej nie używać, bo miast likwidować kurz jedynie go przegania. Kurz, w istocie bywa uciążliwy, stąd odkąd chorujący na astmę portier w domu towarowym James Murray Spangler wynalazł w 1806 roku pierwszy przenośny odkurzacz elektryczny miotła straciła wiele ze swego uroku. Dziś odkurzaczy używa się nawet do sprząkania liści.

Jest wszakże miejsce, gdzie za sprawą miotły zyskać można splendor i chwałę. Ba, o dziwo uznanie przynieść może celne miotanie kamieni w stronę domu. Rzec by można miejsce, które pogodzi i gospodarza i mocno niesfornego urwisa. Ale po kolei...

Jako zapalony kibic, co cztery lata zimą zwykle zasiadać przed telewizorem by śledzić zmagania sportowców w Zimowych Igrzyskach Olimpijskich. Jeśli mnie pamięć nie myli było to, licząc od pierwszych świadomie oglądanych Igrzysk w 1984 roku w Sarajewie, osiemnaście długich lat oczekiwań na jakikolwiek „polski medal”. Osiemnaście długich lat,



zaczytywania się wspomnieniami dziennikarzy „Przeglądu Sportowego” czy „Sportowca” o złocie Wojciecha Fortuny, pierwszym medalu Franciszka Gronia-Gąsienicy czy medalach polskich panczenistek w Squaw Valley. Co cztery lata żyłem wszakże niegasnącą nadzieją, że może tym razem Erwina Ryś-Ferens, że może Grześ Filipowski, a może Jaromir Radke? Efekt był wciąż ten sam (aż do igrzysk w Salt Lake City skąd w 2002 roku dwa medale przywiózł Adam Małysz) a ja zastanawiałem się z żalem, dlaczego w programie igrzysk nie figurują wyścigi bojerów, łodzi żeglujących po lodowych taflach, w której to konkurencji Polacy zwykli seryjnie zdobywać medale. Od Igrzysk w 1998 roku w japońskim Nagano zacząłem zadawać sobie pytanie, dlaczego moi rodacy nie uprawiają curlingu, mając ową dyscyplinę sportu za niszową i w tym, wstyd przyznać, upatrując szansy na jakikolwiek sukces. Miałem widać w pamięci czwarte miejsce polskich hokeistów na Zimowych Igrzyskach Olimpijskich w 1932 roku w Lake Placid. Wynik dziś i w najbliższej przyszłości zda się nieosiągalny, wywalczony w... stawce czterech zespołów.

Nie miałem wtedy świadomości, iż na całym świecie curling uprawia około 1,5 miliona osób. Gros z nich oczywiście w Kanadzie, ale poza nią osoby zabawiające się w puszczenie kamieni po lodzie spotkać można w całej Europie, Stanach Zjednoczonych, Japonii, Korei Płd. a nawet Brazylii czy Australii. Serce curlingu bije wszakże w Szkocji, gdzie grywano weń już w XVI wieku. Odrębne zdanie w tej kwestii mają Holendrzy powołując się m.in. na postacie grających w podobną grę uwiecznione na obrazach Pietera Breugela Starszego, ale podobnie jak w przypadku golfa naród kupców o dziwo okazał się mieć mniejszą siłę przebicia niż Szkoci.

W grze w curling stają naprzeciw siebie dwa czteroosobowe zespoły, których celem jest umieszczenie wypuszczanych ślizgiem po lodowej



tafli kamieni w tzw. domu. Owo domostwo symbolizują wymalowane na lodzie współśrodkowe okręgi z lotu ptaka przypominające oznaczenie malowane na skrzydłach brytyjskich samolotów. Zewnętrzna średnica „domu” to 12 stóp, czyli 3,7 metra. Niby nie mało, ale gdy przychodzi umieścić w jego centrum kamień o wadze blisko 20 kg z odległości przeszło 18 metrów nie jest to już takie proste zadanie. Do czego by to porównać? Do rzutu kulą do gry w kręgle? Tak, ale do rzutu w kierunku wybranego, centralnie ustawionego kręgla, tak by zbić go kulą, która miast potoczyć się dalej zajmie jego miejsce.

Współcześnie używane do gry kamienie ze względu na kształt zwane są żartobliwie czajnikami. Podczas rzutu, a może raczej ślizgu nadawana jest im rotacja. Jak wielka? To zależy od kamienia, od lodu, od ustawienia na lodowisku uprzednio wypuszczonych kamieni, które mogą blokować drogę do środka „domu”. A co gdy



FOTO: Fotolia

rzucający włoży w tę czynność nie dość siły i kamień nagle zacznie zwalniać? Z pomocą przyjdą koledzy lub koleżanki chwytając w dłonie miotły. Chwytając w ściśle określony sposób, dzieląc dłońmi trzonek miotły na trzy równe części. I wtedy zobaczyć można obrazek dla tej gry charakterystyczny i niepowtarzalny. Wirujący wokół własnej osi kamień sunie po tafli wydając charakterystyczny dźwięk, od którego wywodzi się nazwa tej gry (szkockie słowo curr oznaczające nisko brzmiący pomruk), a dwie pochylone nad lodem osoby ślizgają się na butach rytmicznie zamiatając lód przed kamieniem. Nie po to, by zmieść coś, co mogło się znaleźć na jego drodze, ale by rozgrzać przed nim lód. Zmienia się tym samym siłę tarcia a przez to zwiększa prędkość i zmniejsza rotację kamienia. Zwykło się zwać tę czynność szczotkowaniem, bo też dziś lód zamiata się raczej szczotką (o uchwycie z włókna szklanego, z włosiem końskim lub wieprzowym, lub coraz częściej z tworzyw sztucznych) niż miotłą. Dawniej w powszechnym użyciu były miotły ze słomy kukurydzianej wyglądem przypominające, nasze swojskie, krótki „brzozówki”.

Zamiataniem kieruje skip, kapitan zespołu ustawiony na wysokości „domu”. Czynność tę można wykonywać jedynie do momentu, gdy kamień przekroczy linię (teeline) poprowadzoną na wysokości środka docelowego okręgu. W tym momencie do gry mogą włączyć się zawodnicy

drużyny przeciwnej by szczotkując wyprowadzić kamień poza obręb domostwa. Czyż nie pisałem, iż miotła na progu domu pełnić może funkcje obronne?

Rywalizację prowadzoną z reguły w dziesięciu rundach, podczas których każdy z zawodników (na przemian, z obu drużyn) posyła na lód po dwa kamienie. Posyła, by trafić do celu, lub ustawić kamień w roli „strażnika” na drodze i utrudnić zadanie przeciwnikowi – taki rzut zwany jest „draw”. Innym razem rzuca by wzorem bilardowej kuli wybić kamień przeciwnika – mamy wtedy do czynienia z rzutem zwanym „take-out”. W każdej z rund punkty zdobywa się za każdy kamień umieszczony bliżej centrum „domu” niż najbliższy kamień przeciwnika. Kamienie pozostające poza jego obrębem nie są liczone, nawet jeśli znajdują się bliżej niż te, należące do drugiej drużyny.

W Polsce curling uprawia się od 2002 roku. Niestety wbrew moim nadziejom, póki co, nie na poziomie gwarantującym olimpijskie laury. Na zbliżających się Igrzyskach Olimpijskich w Pjongczang liczyć mogą na nie reprezentanci Kanady (5 złotych medali olimpijskich i 51 złotych medali w mistrzostwach świata kobiet i mężczyzn), ale ja z przekory pewnie będę kibicował Szkotkom i Szkotom. To w końcu ich zabawa.

WIEDZY NIGDY ZA WIELE MAŁGORZATA GAJKO

BADANIA KONTROLNE



Jeżeli pracownik przebywał na zwolnieniu chorobowym w okresie dłuższym niż 30 dni, przed powrotem do pracy, musi wykonać badania kontrolne.

Pracownik podlega kontrolnym badaniom lekarskim w celu ustalenia zdolności do wykonywania pracy na dotychczasowym stanowisku (art. 229 § 2 zd. drugie K.P.).

Podstawą wystawienia skierowania na badania kontrolne jest przedłożenie pracodawcy zaświadczenia wydanego przez lekarza leczącego danego pracownika o zakończeniu leczenia.

Pracownik po otrzymaniu skierowania ma obowiązek poddania się badaniom lekarskim w ośrodku medycyny pracy.

Ważne!

Pracownik po 30-dniowym okresie przybywania na zwolnieniu chorobowym, nie może bez wykonania kontrolnych badań lekarskich zostać dopuszczony do pracy.

Po długotrwałej chorobie pracownik wracający do pracy, ma obowiązek wykonania badań w pierwszym dniu od zakończenia okresu zwolnienia, ale przed przystąpieniem do wykonywania swoich obowiązków.

Nagroda jubileuszowa

Pracownikom przysługują nagrody jubileuszowe w wysokości:

- 1) 100% miesięcznego wynagrodzenia - po 10 latach pracy,
- 2) 150% miesięcznego wynagrodzenia - po 15 latach pracy,
- 3) 200% miesięcznego wynagrodzenia - po 20 latach pracy,
- 4) 300% miesięcznego wynagrodzenia - po 25 latach pracy.

Do okresu pracy uprawniającego do nagrody jubileuszowej wlicza się wyłącznie okres pracy u Pracodawcy. Pracownik nabywa prawo do nagrody jubileuszowej w dniu upływu okresu uprawniającego do nagrody. Wyplata nagrody jubileuszowej powinna nastąpić niezwłocznie po nabyciu przez pracownika prawa do tej nagrody.



FOTO: Redakcja

Kto nie chciał kiedyś jeździć śmieciarką?

Z Marcinem Wójcikiem z kabaretu Ani Mru-Mru rozmawia Adam Przystupa.

Chodząc do szkoły zbierałeś makulaturę?

Zbierałem. Na ulicy Wileńskiej gdzie mieszkałem, dokładnie róg Wileńskiej i Grażyny był wielki skup makulatury. W domu zawsze było dużo gazet, ojciec dużo czytał, ja kupowałem. Było ich zawsze tyle, że mama mówiła „weź wynieś te gazety” a w związku z tym, że do skupu miałem raptem 150 metrów robiłem z nich paczkę, którą owijałem takim konopnym sznurkiem i znosiłem. Pamiętam, że dostawało się za nie papier toaletowy. Żeby taki wianuszek papieru zawisł na szyi trzeba było tej makulatury trochę nanosić. W ogóle fajne wspomnienie z tymi skupami makulatury, bo teraz coraz ciężiej je

znaleźć. Tak jak magiel. Kiedyś na każdym osiedlu był magiel i to było takie centrum życia osiedlowego... Wracając do skupów – tak znosiłem makulaturę, znosiłem butelki. Potem pamiętam z podstawówki, że zbierało się aluminiowe kapsle z butelek po mleku, po śmietanie. Zwykłymi metalowymi kapslami z butelek, grało się w „wścigu pokoju”. Więc moja świadomość ekologiczna kiełkowała od małego i rozkwitła dziś pięknym kwiatem...

Jednym słowem dziś również sortujesz, tyle tylko, że nie wędrujesz już do skupu tylko pochylasz się nad pojemnikiem.

Sortuję. Na tyle ile mogę na tyle sortuję.

Dostaję specjalne kolorowe worki i sortuję na frakcję suchą i mokrą. Mój kolega, Robert Górski z „Kabaretu Moralnego Niepokoju” miał taki żart – na pytanie czy segreguje śmieci, mówił, że suchą frakcję wywozi do iglastego a mokrą do liściastego. Ale wkurza mnie, że ludzie wyrzucają śmiecie w lesie.

Zwłaszcza teraz, gdy wszyscy mają dostęp do pojemników a ktoś jeszcze zadaje sobie trud by jechać ze śmieciami do lasu. A w samym domu, kto dowodzi segregacją? Ty, małżonka, córka?

Ja i jest to mój jeden z większych dramatów życiowych. Gdy mieszkałem z rodzicami, to zawsze ja wynosiłem śmiecie. Mieszkałem w bloku gdzie był zsymp, do którego wrzucało się tam śmiecie i one zsympem leciały na dół. Całe życie nosiłem te kubły ze śmieciami. Myślałem sobie „kiedyś będzie tak, że będę miał dziecko i to ono będzie wynosić śmiecie”. No, ale okazało się, że ze śmieciami dalej chodzę ja. Więc pewnie to już taka moja karma.

Może po prostu jesteś w tym perfekcyjny.

Tak, może po prostu jestem w tym dobry... To też dobrze wróży, bo gdyby skończyła się moja kariera kabaretowa zapukam tu do KOM-EKO i wtedy powiem „Od czterdziestu paru lat wyrzucam śmiecie. Bierzcie mnie!”. Z resztą, umówmy się, kto kiedyś jako młody chłopiec nie chciał jeździć śmieciarką?

Ekologia to nie tylko śmiecie, ale też zdrowy tryb życia. Jesteś bardzo aktywną osobą. Mało kto wie, że za tobą etap dobrze zapowiadającej się piłkarskiej kariery...

Bez przesady.

Grałeś w zespole Lublinianki, który wydał kilku reprezentantów Polski. Arkadiusz Onyszko i Jakub Wierchowski trafili do pierwszej reprezentacji.

Zdarzyło mi się grać. Kariere piłkarską raczej robią inni. Natomiast miałem okazję w 1992 roku zagrać w meczu w półfinale mistrzostw Polski juniorów przeciwko Jagiellonii i potem jak sobie popatrzyłem, że z tej Jagiellonii wyszli tacy zawodnicy jak Tomasz Frankowski, Marek Citko, Jacek Chańko, Daniel Bogusz czy Mariusz Piekarski to pomyślałem sobie „kurczę, co zrobiłem nie tak”. Ale mówiąc poważnie, to sport zawsze był w moim życiu obecny i do dziś się nim zajmuję. Taką moją nową miłością jest golf. Gram już od 14 lat. Spędzam każdą możliwą chwilę na polu

golfowym. Nawet wczoraj grałem bo była ładna pogoda. Staram się tym sportem rekompensować niedogodności mego życia w pracy, bo niestety życie artysty to nie tylko przyjemne chwile na scenie, ale głównie podróże, mało snu oraz nie bójmy się tego powiedzieć - spotkania towarzyskie. Kiedy więc wracam do domu z pracy, to jestem ekologicznie świadomym obywatelem i robię wszystko zgodnie ze sztuką życia w zdrowiu i w zgodzie z naturą?

Organizujesz turnieje golfowe...

Muszę odpoczywać od pracy. Z perspektywy ostatnich kilku lat, dziesięciu, może ośmiu uświadomiłem sobie, że pierwsze takie zachłyśnięcie się popularnością, tym że jestem na scenie z czasem mija. W pewnym momencie sobie człowiek uświadamia, że w porządku, że to jest super praca, która jest pasją - i to bez dwóch zdań - natomiast jest jeszcze kilka takich rzeczy w życiu, które można robić nie koniecznie zarabiając pieniądze a spełniać się w jakiś sposób. Mnie zawsze ciągnęło w stronę sportu, więc organizuję turnieje golfowe. Mamy wspólną inicjatywę pod tytułem „Olimpijski dziesięciobój lubelski” a więc w dwadzieścia osób co roku ścigamy się w różnych dyscyplinach. Dzięki temu



muszę ciągle trenować – kolarstwo, triathlon, czasem żeglarstwo, czasem strzelanie, czasem lekkoatletykę. Staram się żyć aktywnie, nie siedzieć w domu, nie gnuśnić.

Jednym słowem, gdy jesteś w Lublinie czas na sport i czas dla rodziny...

Tak. Ten pierwszy okres kabaretu był trudny. Każdy artysta ma coś takiego, że gdy wchodzi na pewien etap życia scenicznego to chce go wycisnąć jak cytrynę a potem trzeba wyhamować i dbać o to by była równowaga pomiędzy rodziną a pracą.

Wróćmy do sortowania. Mówiliśmy o śmieciach, a jak wygląda sortowanie pomysłów?

Podobnie jak odpadów. Ciężka praca. Sortowanie pomysłów to walka ze sobą. Czasami brakuje takiego wariactwa, które było na początku. Teraz człowiek myśli „nie, to będzie za prosty żart”, albo „to będzie za trudny żart”, albo „to będzie żart, który może kogoś urazić”.

Często, parafrazując, człowiek stoi nad tym kubłem i myśli sobie, do której przegródki go wrzucić. Czy żart, który wymyśliłem rok temu nadaje się tylko do recyklingu, czy jeszcze można coś

z nim zrobić? A prawda też jest taka, że im dłużej jesteś na rynku tym trudniej nie powiełać nie tylko swoich, ale i czyichś pomysłów. Chodzi o to by nie zdarzyła się sytuacja – a taka kiedyś zaistniała - że trzech satyryków mówi ten sam żart, bo go sobie przygotowali na festiwal w Opolu. Jeden drugiego oczywiście nie słuchał, bo siedział w garderobie. Ale nie narzekamy. Chcemy się tym dobrze bawić i dopóki to nam sprawia przyjemność to to robimy.

Fakt, że sam wymyślasz swoje numery powoduje, iż jesteś cały czas w pracy?

Poniekąd tak, bo muszę mieć oczy i uszy otwarte by stale wyluskiwać śmieszne powiedzenia, które mogłyby być puentą jakiegoś numeru. Natomiast bez przesady. Nie jestem cały

czas na takich obrotach, by wciąż analizować „a może by z tego skecz zrobić, a może z tego?”. Wiem, że jak ma się dobry pomysł trafić to on się trafi. Poza tym są taksówkarze. Pierwsze co słyszę jak tylko wsiadam do taksówki to dowcip. Taksówkarzom się wydaje, że ja generalnie nie znam dowcipów i starają się mi je opowiadać. Dodatkowo zaznaczają – „może pan to wykorzystać, ja pieniędzy za to nie chcę”. To już klasyka.

Od polityki uciekacie z zasady?

Najchętniej to bym od niej nie uciekał. Ale to nie jest dobry czas na żarty polityczne, bo tak naprawdę z żartu śmieje się tylko połowa publiczności.

Czy istnieją tematy tabu?

To jest granica dobrego smaku. Nie stronię czasami od ostrzejszych rzeczy na scenie, jeżeli są one uzasadnione. Ale są też rzeczy, z których generalnie nie powinno się żartować. Wychodzę z zasady - jeśli mam kogoś urazić z publiczności to raczej tego nie robię. Chociaż to też jest tak, że nigdy nie wiesz czy kogoś czymś nie urazisz. Bardziej się auto cenzuruję jeśli chodzi o poziom jakiegoś żartu.

Na kim testujesz?

Pierwszym sitem jest nasz kabaret. Czytamy sobie tekst, i jak ktoś powie „nie, no panowie, bez przesady” to wiemy, że jest już coś nie tak. A jak wszyscy mówimy jest OK, to jest OK i w zasadzie to się potwierdza potem przy publiczności. Potem wychodzimy na scenę i pierwsze dwa, trzy zagrania nowego numeru uświadamiają nam co można w nim poprawić, np. przenieść żart z jednego miejsca w drugie, szybciej skończyć numer, zamienić się rolami. Nie ma tak, że gramy dla znajomych, czy dla żony. Żona zawsze powie, że jest super, bo co ma powiedzieć.

Przeczytałem kiedyś, że Kazimierz Rudzki, nieodżałowany tata Pawła z „Wojny domowej” twierdził, że najlepsza improwizacja to jest ta, która jest niezwykle



starannie przygotowana. Jesteś osobą, która bardzo dobrze czuje się na scenie, która lubi wchodzić w interakcję z publicznością. Ile jest w tym improwizacji, ile przygotowania. Jesteś gotowy na każde zdarzenia?

Jestem, ale to nie jest łatwy proces. To nie jest tak, że człowiek siada w domu i się przygotowuje na spotkanie z publicznością. Nie. Kiedyś trzeba zacząć i jeśli człowiek się tego nie przestraszy, to po pierwszej, drugiej, czwarte próbie człowiek nabywa pewnych wytrychów, pewnych sposobów jak zapanować nad jakąś sytuacją. To wynika tak naprawdę z doświadczenia. Oczywiście większość artystów po pierwszej sekundzie gdzieś tam z tyłu łowy będzie wiedzieć – opowiem dowcip, albo zaproponuję jakąś zabawę, grę, albo się na kimś skupię, będę się pastwił nad kimś z publiczności. I to jest w pewnym sensie gdzieś tam przygotowane. Natomiast wracając do Rudzkiego, ja nienawidzę ludzi na scenie, którzy udają, że improwizują. To się da wyczuć. Nie lubię artystów, którzy udają, że się gotują na scenie, artystów kabaretowych, którzy są na scenie i się świetni bawią ze swoich żartów, albo udają, że coś tam im się nie udało. To od razu widać i jest sporo takich artystów.

Publiczność się śmieje „tu się pomylili, ale super”, ale oni się myślą tak codziennie, albo dwa razy dziennie. Improwizacja sama w sobie jest fajna, bo jest twórcza. Dlatego ja bardzo chętnie brałem

i jeszcze pewnie będę brał udział, bo są takie plany, w „Spadkobiercach”,

czyli w serialu kompletnie improwizowanym, gdzie nie ma nic przygotowanego. Wychodzisz na scenie z samymi „pistoletami” improwizacji i musisz być przygotowany na wszystko. Ale to daje straszny oddech i straszną frajdę jak się człowiek utrzyma, jak cię nikt nie ugotuje na tej scenie, jak uda się jakąś scenę dobrze zagrać i coś wymyślić ad hoc to jest jeszcze większa frajda niż takie odegranie numeru, który wymyśliłem trzy lata temu, numeru, w którym się nic



nie wydarzy nieprzewidzianego.

Miałeś kiedyś kłopot z okiełznaniem publiczności?

Nie, kłopotu z publicznością nie miałem. Miałem parę nieprzyjemnych zdarzeń, ale to wynikało z tego, że publiczność miała dostęp do alkoholu i to było przykre. Kiedyś ktoś rzucił we mnie butelką. Ale nie, dlatego, że...

...stał za tobą pojemnik na odpady do recyklingu...

Być może... Ten człowiek pił piwo. Jeśli dobrze pamiętam to było chyba w Łebie. Publiczność była super, cały występ był fajny, wiadomo – wakacje ludzie sobie piwko piją. To był monolog o alkoholaistach i tam był taki fragment, gdy stojąc na scenie mówię „niech pierwszy rzuci we mnie czymkolwiek ten, kto...”. Tysiąc razy to powiedziałem na scenie. I w momencie, kiedy to powiedziałem przeleciała butelka. Przerwaliśmy na chwilę występ, trochę zrobiło się nieprzyjemnie, ale potem sobie uświadomiłem, że ten człowiek po prostu siedział, usłyszał

„niech ktoś we mnie rzuci” i po prostu rzucił. Natomiast generalnie, artysta kabaretowy w odróżnieniu od aktora musi mieć cały czas władzę nad publicznością. Staram się dbać o to, by podczas moich występów publiczność była

mówiąc kolokwialnie „trzymaana za twarz”. Czyli nigdy nie wie co się wydarzy i musi być lekko niepewna. Nie ma nic gorszego niż to, gdy publiczność drży o artystę, boi się, że coś mu się nie uda, gdy on sam jest niepewny, albo czegoś nie umie. To artysta wchodzi na scenę i to on rządzi, on może powiedzieć „przepraszam, gdzie pan idzie, ja nie byłem w toalecie”...

Czasami może wywołać na scenę...

Tak, oczywiście, to najgorsza „kara” dla publiczności. Ale publiczność chętnie tę formułę przyjmuje. Zawsze mówię, że publiczność, która przychodzi na występy kabaretowe jest publicznością świadomą i wie, co ją może spotkać. Chce





FOTO: Redakcja

się dobrze bawić, więc generalnie problemu z publicznością kabaretową nie ma.

Ale kiedyś widownia próbowała was wkręcić...

To była impreza zamknięta dla jakiejś firmy, było mnóstwo młodych ludzi, przedział wieku 25-35. Mówię sobie, „kurczę, młodzi ludzie, cała sala, będzie fajna impreza”. Wychodzę na scenę, witam wszystkich, rozpoczynam, jeden żart, drugi... Cisza. Ale od razu zapaliło mi się czerwone światło. To nie jest możliwe żeby na dwieście osób ani jedna się nie uśmiechnęła. Wiadomo, żart nie musi trafiać do wszystkich, ale jak ten żart mówisz w danym miesiącu w dziesięciu salach i wszyscy się śmieją i nagle trafiasz do kolejnej a wszyscy siedzą z kamiennymi twarzami to nie ma siły. I mówię do nich „Aha, czyli tak się dzisiaj bawimy”. Wtedy oni wszyscy „Aaa... Mamy Cię!”. Mieli taką ustawioną sytuację firmową.

Czujesz, że publiczność oczekiwania wobec Ciebie przenosi również poza salę koncertową, że musisz być bez przerwy uśmiechnięty, zabawny w sytuacjach prywatnych?

Trochę tak, ale to normalne. Jako artyści kabaretowi mamy tę przewagę nad innymi, że jesteśmy uważani za osoby sympatyczne. Czy to dobrze czy źle to nie mnie oceniać. Ludzie mogą powiedzieć ten kabaret mnie nie śmieszy, albo ten facet mnie nie śmieszy, ale jak zapytasz czy ten facet z kabaretu jest miłą osobą, to odpowiedzą „Nie, no oczywiście przyjemny, generalnie wesoły, opowiada śmieszne rzeczy”. Tak też nas ludzie traktują prywatnie. Ostatnio byłem na lotnisku we Wrocławiu. Miałem lot o szóstej rano, więc ustawiłem się w kolejce po jakąś kawę. Obsługiwały mnie takie dwie panie, mówią „nie

no taki smutny pan tutaj stoi”. Zażartowałem „po pierwsze jest szósta rano, a po drugie jakby tu stał Adam Małysz pewnie też by na nartach nie skakał”. To też jest tak, że kiedy spotkasz kogoś, kogo lubisz, to oczekujesz od niego, że będzie dokładnie taki, jakie robi wrażenie. Ktoś kiedyś bardzo mądrze powiedział, że nie powinno się poznawać swoich idoli, bo się można rozczarować i pewnie jest w tym sporo prawdy, ale ja się zawsze staram do takich sytuacji odnosić sympatycznie.

Ale w domu rzecz jasna jesteś ponurakiem..

W domu tak. Ponurakiem, leniem. Leżę na kanapie i nic nie robię.

Jak odpoczywasz?

Aktywnie. Lubię na przykład dłużyć w ogródku, to tak à propos ekologicznego stylu życia.

Tu mnie zaskoczyłeś.

Korzystam co prawda z usług firmy ogrodniczej, ale trawę muszę skosić sam. Doglądam, przycinam, nasadziłem coś kiedyś nawet. To mi daje oddech. Zostawiam telefon w domu na cztery godziny i siedzę w ogródku, jakieś ognisko sobie rozpalę. Takie proste wiejskie czynności. Przychodzą do mnie pogadać sąsiedzi ze wsi. Lubię telewizję pooglądać. A tak to sport, to o czym mówiłem – rower, dużo gram w golfa i często podróżuję po świecie.

Masz jakieś swoje fobie, koszmary ? Wychodzisz na scenę i nikt się nie śmieje...

Nie. Nigdy nie miałem takiego przeświadczenia, że to jest mój zawód, który będę wykonywał do końca życia. Jeśli by się to kiedyś miało skończyć, odnajdę się w nowej sytuacji.

RZECZY POMIESZANIE

Czasem ważnych, czasem błahych, czasem intrygujących, ale zawsze prawdziwych...

ADAM PRYZSTUPA

Używana przez nas na co dzień technologia bezprzewodowej komunikacji pomiędzy różnymi urządzeniami elektronicznymi, czyli bluetooth zyskała swoją nazwę od przydomku jakim przed wiekami obdarzono władcę Danii Haralda Sinozębnego (911-987). Charakterystyczny symbol, jakim oznacza się włączenie w telefonach funkcji bluetooth to znak pochodzący z pisma runicznego będące odpowiednikiem litery „b”.

Pierwszym zagranicznym żuźlowcem w polskich ligach żuźlowych nie był jak się powszechnie sądzi debiutujący 1 kwietnia 1990r roku w Motorze Lublin Hans Nielsen. W wyścigu o to miano uprzedził go... 27 lat wcześniej Valent Medved reprezentujący gdańskie Wybrzeże. Jugosłowianin debiutował na torze w Gdańsku 30 czerwca 1963 roku w meczu z Unią Leszno.

Miano najdłuższej komiksowej opowieści, jaka ukazała się w Polsce należy się komiksowi Janusza Christy „Kajtek i Koko w kosmosie”, który ukazywał się w trójmiejskim „Głosie Wybrzeża” w latach 1968-1972. W tym okresie na łamach gazety ukazało się 1265 odcinków. W wydaniu książkowym kosmiczna epopeja zajęła, bagatela, 656 stron.

Wedle dziewiętnastowiecznych badań znane nam doskonale chrabąszcze majowe aż w 16% zbudowane są z białka. Nic więc dziwnego, iż do połowy XX wieku w Niemczech i Francji przyrządzano na nich pożywną zupę. Na porcję dla jednej osoby należało podsmażyć na maśle około 30 owadów, po czym gotować je na rosole cielęcym lub kurzym. Zupę podawano z grzankami oraz plasterkami wątróbki cielęcej.

Możliwość oglądania unikalnych zbiorów muzeów w Luwrze zawdzięczamy polskiemu historykowi sztuki Florianowi Trawińskiemu (1850-1906). Podczas przewrotu Komuny Paryskiej w 1871 roku Trawiński pełnił funkcję komisarza resortu kultury i sztuki. Wbrew planom swych towarzyszy zamierzających spalić Luwr, wymienił potajemnie umieszczone tam beczki z naftą na beczki z wodą. Po upadku Komuny ów czyn uratował mu życie a następnie skłonił rząd by na 35 lat powierzył mu funkcję dyrektora uratowanego przezeń muzeum.

Zwycięzcy konkursu plastycznego!

Z przyjemnością informujemy o rozstrzygnięciu konkursu plastycznego „Moja Mama, mój Tata w pracy”.

Dziękujemy wszystkim dzieciom, które podjęły wyzwanie i odważyły się wziąć udział w konkursie. Wszystkie prace zachwyciły nas pomysłami i starannością wykonania.

Dzieci włożyły wiele wysiłku i serca w swoje dzieła. Dlatego też postanowiliśmy nagrodzić wszystkich uczestników konkursu. Nagrody w postaci kartonów do kina otrzymują:

Julka Biskup, Dominika Czop, Karol Dudek, Kacper Śledź.

Julka Biskup



Julka Biskup



Dominika Czop

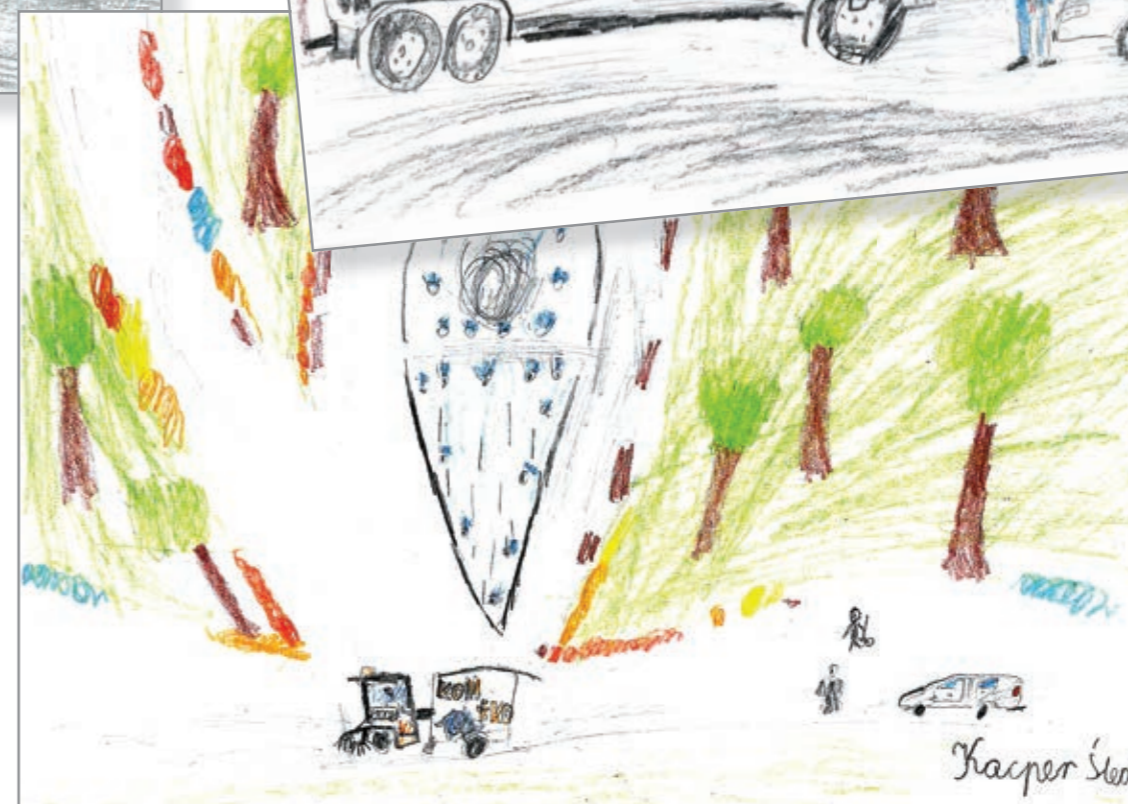


Kacper Śledź



Karol Dudek

Karol Dudek



Kacper Śledź

Kacper Śledź

UBIERAJĄC CHOINKĘ

Dlaczego po nią sięgnąłem?

Pewnie kierowało mną przecucie.

ADAM PRYZSTUPA

James Galway. Jeśli nic wam to nazwisko nie mówi, nie szkodzi. Wszystkich znać nie sposób. I dla mnie było zupełnie anonimowe, gdy szukając pomysłu na prezent dojrzałem na sklepowej półce płytę. Dlaczego po nią sięgnąłem? Pewnie kierowało mną przecucie, wiedzione grą skojarzeń, śladów zatopionych w pamięci. Na okładce sielski skądinąd obrazek trojga muzyków przygrywających na ganku domostwa. Choć dziś tego nie pamię-

tworząc świetną serię programów „Transatlantic Sessions”. Na okładce płyty adekwatny do obrazka tytuł „A Song of Home”, z dopiskiem „An American Musical Journey”. Rzec można śpiewnik domowy, tyle, że nie nasz, nie moniuszkowski. Dla nas to raczej przewodnik po dalekim bezkresie. Dla mnie po bezkresie zimowym.

Traf chciał,

że odsłucha-

łem tę płytę w przeddzień Wigilii.

tam, musiałem obudzić wspomnienie dawno oglądanej muzycznej impresji. Grupa innych muzyków dokazująca w rozświetlonym słońcem pokoju. W jego progu zasłuchani w brawurowo zagrany „Poor Boy Blues” mieszkańcy a może sąsiedzi. Ten sam schemat domowego muzykowania wykorzystają chwilę później realizatorzy BBC

Odsłuchałem ubierając choinkę. Nie dałbym głowy, że mróz malował cokolwiek na szybach. Nie dałbym głowy, że śnieg bielił się za oknem. Nie dałbym głowy, bo w niej właśnie powiło się przekonanie, że to właściwa muzyka na taką chwilę. Na ten moment oddechu w grudniowym, przedświątecznym zabieganiu. Na ten moment, który nie musi być przymusową spłatą długo wobec

tradycji. Na ten czas, kiedy kolęd śpiewać się jeszcze nie powinno, a zimowe przeboje obrzydły zgrane do ostatniej nuty w sklepach i galeriach handlowych od pierwszych dni listopada.

Wróćmy do Jamesa Galwaya. Urodził się w 1939 roku w irlandzkiej rodzinie o bogatych muzycznych tradycjach. Za przykładem taty i wujka w wieku dziesięciu lat rozpoczął naukę gry na flecie, by po roku wygrać konkurs flecistów w rodzinnym Belfaście. Zachwyił talentem, który otworzył mu wrota najlepszych uczelni w Londynie i Paryżu. Po ich ukończeniu grał w Londyńskiej Orkiestrze Symfonicznej, Królewskiej Orkiestrze Filharmonicznej, a przede wszystkim w szeregach berlińskich filharmoników gdzie od 1969 do 1975 roku pełnił rolę pierwszego flecisty. Porzuciwszy współpracę z Herbertem von Karajanem rozpoczął karierę solową, która przyniosła mu miano „Człowieka ze złotym fletem” (podobnie jak jego nauczyciel Jean-Pierre’a Rampal ze względu na brzmienie naprawdę grywa na instrumencie wykonanym z czystego złota) i ponad 30 milionów sprzedanych płyt. Słuchając wszakże tej wydanej w 2002 roku płyty nie miałem o tym pojęcia. Nie wiedziałem też, iż to dźwięki jego fletu towarzyszyły na kinowym ekranie perypetiom Drużyny Pierścienia.

Płytę „A Song of Home” nagrałą z folkowo muzykującym małżeństwem Jay Ungarem i Molly Mason rozpoczyna uroczą melodię „My Cape Breton Home” napisaną przez nieżyjącego już dziś skrzypka Jerrego Hollanda. Nieprzypadkowo. Cape Breton to kanadyjska wyspa, gdzie na jednego mieszkańca przypada więcej skrzypków niż gdziekolwiek indziej na świecie. Grają w specyficznym i rozpoznawalnym sposobie przywieziony przez szkockich imigrantów, ale tu melodia rozwija się powoli, kołysze, przeplatając delikatne partie fletu Galwaya z tęsknym głosem skrzypiec Ungara i dźwiękami gitary Molly Mason.

Chwilę później sir James otwiera równie spokojną wiązkę melodii Stephana Fostera „Foster’s Ladies”. Pomyślicie – o czym on pisze, u licha! Najpierw Galway, potem Holland, teraz jakiś Foster! Tego ostatniego pana możecie po prostu nie pamiętać. Jedną z panien sławionych nutami Fostera zwano Zuzanną, ale kogo toczy alergią na muzykę country niech rozproszy swe obawy – skocznej piosenki „Oh,

Suzanna” na płycie nie uświadczy. Znajdzie tu raczej stonowane, pełne przestrzeni kompozycje, ale czy mogłyby być inaczej skoro napisany przez Ungera „The West Texas Waltz” inspirowany był bezkresem, jaki rozpościera się przed wędrującymi bezdrożami tego przygranicznego, południowego stanu. Równie leniwie płyną dźwięki w dwóch starych tradycyjnych pieśniach z Appalachów „A Roving On A Winter’s Night” i „Pretty Saro”. Zdawałoby się, iż flet Galwaya będzie tu nie na miejscu – mieszkańcy owej górskiej krainy zwykli muzykować po pracy przy skrzypkach, gitarze czy banjo, ale przeciwnie współgra z charakterystycznym harmonicznym kobiecym zaśpiewem. Przedziwny to śpiew, przedziwny dwugłos. Dźwięczny, ale stonowany, jakby trzymany na uwięzi. Jeśli przyjąć, moje zimowe spojrzenie na tę płytę, dwugłos, który bezwietrznym zmierzchem nie płoszy wirujących płatków śniegu.

Bezwiednie, trzymając niezawieszoną jeszcze bombkę w dłoni, odwróć się od choinki w stronę okna by szukać owej bieli. Tej, za którą tęsknię, tej z lat dziecińczych. Tej z nigdy niewidzianego Nieświeża, która uwiodła niegdyś Juliana Fałata, by najpierw wynieść go na szczyty jako niedościgniętego malarza zimowych pejzaży, później zaś stała się jego słabością i przekleństwem. Jak ważnym musi być wspomnieniem, jeśli odnajduję ją w dźwiękach fletu snujących dziewiętnastowieczną pieśń wędrowców „Oh Shenandoah”. Tym dźwiękiem będę, pewnie wbrew intencjom autorów, słał w swej wyobraźni sanne słysząc „The Lovers Waltz”, „Harvest Home Suit” czy „Heart Of Heartland”. A gdy już zawieszę ostatnią bombkę, oplotę choinkę ostatnim łańcuchem w ciszy późnego wieczora nieść się będzie „Amazing Grace”, znajomy hymn, świadectwo nawrócenia niejakiego Johna Newtona, dawnego handlarza niewolników.

Jeśli przeczytawszy te słowa sięgnięcie po „A Song of Home” Jamesa Galwaya być może nie odnajdziecie w niej tego samego co ja. Rzekłbym nawet, że zapewne odnajdziecie coś zupełnie innego. I to w istocie w muzyce jest najpiękniejsze.

A co do zimy... Cóż, pisząc te słowa odkryłem, iż James Galway trzy lata wcześniej nagrał prawdziwie „śnieżną” płytę „Winter’s Crossing”.

Lecz czy to cokolwiek zmienia?



Nie postawią nam pomników...

Próbowałem dociec, kiedy to się zaczęło. Być może pierwszym, który zdjął zmęczone postacie z cokołów był Amerykanin Georg John Lober. Za jego sprawą przy jednej z alejek nowojorskiego Central Parku w 1956 roku stanęła granitowa ławeczka, na ławeczce zaś przysiadł Hans Christian Andersen. Odlana z brązu postać trzyma na kolanie otwartą księgę pełną baśni. U jego stóp zadziera głowę kaczątko, jakby czekając na dalszy ciąg czytanej mu opowieści. Nie ośmieliłbym się nazwać go brzydkim. Spośród setek podobnych mu pomników, które wyrastają wokół jak grzyby po deszczu, ten jest szczególnej urody. Co ciekawe w 150 rocznicę urodzin duńskiego pisarza, tę wyjątkową wówczas rzeźbę ufundowały duńskie i amerykańskie dzieci. Ponoć od czerwca do września w soboty przed południem kolejne pokolenia dzieciaków zasiadają przed ławeczką by wysłuchać na głos czytanych opowieści.

Zbolałe stopy czy kolana to podła przypadłość. Nic więc dziwnego, że z czasem śladem Andersena poszli inni. W Polsce pierwszy jak się zdaje odważył się Julian Tuwim. W kwietniu 1999 roku zasiadł na ławeczce na ulicy Piotrkowskiej w Łodzi. W kapeluszu, rozchylonym na piersiach płaszczu, jakby dostał zadyszki. Nie dokucza mu samotność. Co raz przysiadają się jacyś przechodnie, z którymi milcząc przetrawi chwil kilka. Nie dałbym wszakże głowy, czy tym z nich, co z uporem godnym lepszej sprawy zaklinają szczęście chwytając go za nos nie zacytuje choćby w urawkach „Wiersza, w którym autor grzecznie, ale stanowczo uprasza liczne zastępy bliźnich, aby go w dupę pocałowali”. W mistrzowskiej

interpretacji „Ptasiego radia” wyręczyłaby pewnie Tuwima pani Irena Kwiatkowska, która swoją ławeczkę odnalazła w 2012 roku na uesteckiej promenadzie, gdzie latem zwykła spacerować. Ale i ona milczy złożony dłoń na kolanach. Pewnie zapatrzona w morze zmagania różniet. Ochotę do pogawędki z przechodniami zdradza Gustaw Holoubek, który przysiadł w 2008 roku na ławce w Międzyzdrojach. Zda się właśnie wziął oddech by zacząć ze swadę opowiadać jedną ze swych anegdot. Może tę o strażaku strofującym Kalinę Jędrusik, którą zwykł komentować poziom polskich sporów.

Kalina Jędrusik nie doczekała się swojej ławeczki ani w rodzinnym Gnaszynie, który po latach stał się dzielnicą Częstochowy, ani na warszawskim Żoliborzu, co z lekka dziwi, bo ławeczek ci u nas dostatek. Nie zawsze siadają na nich osoby dostojne czy zasłużone. Ma Warszawa swoją ławeczkę studenta, Kudowa Zdrój ogrodnika a Kąty Rybackie, jakżeby inaczej – rybaka. Ten ostatni zda się jeszcze nie zdecydował czy na niej usiąść, co nie jest wcale przypadkiem rzadkim. W parkowych alejkach, śródmiejskich uliczkach coraz częściej spotkać możemy w brązie odlane postacie, które zapewne do jakiejś ławeczki kiedyś zdążyć będą, ale póki co zastygły w zamyśleniu. Na warszawskiej Pradze na przykład u zbiegu ulicy Stalowej z Czynszową stał swego czasu niejaki pan Zbyszek „Gumą” zwany. Stosownie do nadanego mu przezwiska nie z brązu a w gumie odwzorowano jego przysgarbioną sylwetkę. Przedziwna rzeźba pchnięta dłonią kiwała się ponoć na wzór swego pierwotnego, który dzień swój wypełniał kołyszając się

w upojeniu pod sklepem. Na jego licu malował się dzień wczorajszy i absolutny, ale to absolutny brak słów. Choćby przysiadł na ławeczce nie obdarzyłby nas swą opowieścią.

Snuć swęj opowieści na ławeczce nie będzie nam żaden w brązie odlany śmieciarz, z tej prostej przyczyny, że w odróżnieniu od sklepowego opoja widać póki co na to nie zasłużył. Ludzi trudniących się zbiórką odpadów odnalazłem na płaskorzeźbie umieszczonej na ścianie biblioteki w angielskim mieście Harlow. Praca zatytułowana „Powrót z pracy” („Returning from Work”) przedstawia mężczyznę i kobietę trudniących się zbiórką starych szmat. On pcha z trudem taczkę pełną zebranych odpadów, ona nieco przygarbiona kroczy za nim z pełnym koszykiem przewieszonym przez ramię. Rzeźba niemieckiego artysty Heinza Müllera (1872-1935) musi budzić skojarzenia z obrazami malowanymi w latach siedemdziesiątych XIX stulecia przez francuskiego naturalistę Jeana Francois Raffaëlliego (1850 – 1924), choćby z „Paryskimi gałganiarzami” ze zbiorów Muzeum Brooklyńskiego. Pionierzy recyklingu znad Sekwany stanowili swego czasu chętnie uwieczniany typ ludzki mający uosabiać alienację jednostki w społeczeństwie. Ich nędzę podkreślały na płótnach długie, z dawna niestrzyżone brody wychylające się z cienia rzuconego przez mocno zdefasonowane kapelusze, szare kapoty i plecione kosze lub worki do zbioru śmieci. Gałganiarze Müllera łamią ten schemat, ubiór ich nie stygmatyzuje a nędzę oszczędnie podkreślają ciężkie drewniane saboty na zmęczonych stopach.

Jeśli gałganiarze intrygowali francuskich naturalistów, cóż rzec o dzierzących w dłoniach miotły dozorcach, którym miast zamiatać podwórka przyszło stać na cokołach rozsianych po miastach dawnego Związku Radzieckiego. Niektórzy jak ten z St. Petersburga stojący w pobliżu Placu Ostrowskiego wsparty na szufli do odgarniania śniegu, czy inny zamasyście operujący miotłą na jednym ze skwerów w Niżnym Tagile przypominają swym wyglądem czasy carskiego imperium. Powagi dodają im ciężkie płaszcze, długie brody i charakterystyczne okrągłe czapki z daszkiem. Na ulicach Ufy i Moskwy spotkać możemy ich bardziej współczesne wersje kryjące głowy pod bejsbolówkami. Co ciekawe porządku na uliczkach Mińska i Krasnojarska pilnują odlane w brązie kobiety. Z innego powodu intryguje

rzeźba dozorczy zdobiąca jedną z ulic stolicy Gruzji Tbilisi. Brodata, wsparta na laseczce postać inspirowana jest obrazem Niko Pirosmianiego – malarza samouka, prymitywisty, rzec by można gruzińskiego Nikifora.

Odnalazłem więc wyryte dłutem sylwetki „nośpłatów”, odnalazłem odlane w brązie postacie walczących miotłą ze śmieciami dozorców, ale mężczyźni kiprzący ciężkie pojemniki z naszymi odpadami nie spotkałem nigdzie. Nic to. W zamian za to widziałem maluchy niecierpliwie wyczekujące przed domem na przyjazd śmieciarki, widziałem uśmiechniętą panią ze sklepu obdarowującą drugim śniadaniem załogę zmagającą się z przepełnionymi pojemnikami, widziałem mężczyzn kręcących z niedowierzaniem głową nad kunsztem kierowcy śmieciarki manewrującej na wąskiej, zastawionej parkującymi pojazdami uliczce.

Zdarzyło się wszakże razu pewnego, iż miast stanąć na cokole człowiek trudniący się na co dzień zbieraniem odpadów stał u jego stóp i w obecności dziesięciu tysięcy zgromadzonej publiczności uroczystie odsłaniał wiele znaczący monument. Oto 24 lipca 1921 roku w miasteczku Beckenham, które jeszcze wówczas nie zostało wchłonięte przez rozrastającą się aglomerację Londynu miała miejsce uroczystość odsłonięcia pomnika Wielkiej Wojny. Minęły ledwie trzy lata od zakończenia konfliktu, który pochłonął blisko 10 milionów walczących i około miliona cywilów. Wojny, jakiej świat jeszcze nie oglądał i która jako szczególne doświadczenie wpisała się w świadomość społeczeństw Europy, szczególnie tej zachodniej. Tygodniami, miesiącami zorażone okopami i lejami po pociskach pola Flandrii pochłaniały średnio około pięć tysięcy poległych dziennie.

Stanął więc w Beckenham na 23 stopy wysoki monument zwieńczony krzyżem, w który po obu stronach wpisane są dwa reliefy – jeden po obu stronach wpisane są dwa reliefy – jeden to św. Jerzy patron stanu rycerskiego i Anglii rozprawiający się ze smokiem, drugi to feniks powstający z popiołów. Na cokole wykonanym z portlandzkiego wapienia angielski rzeźbiarz Newbury Abbot Trent umieścił tablice z nazwiskami przeszło siedmiuset mieszkańców miasteczka, którzy oddali swe życie podczas Wojny Światowej. Abbot Trent zyskał swą sławę właśnie dzięki takim pomnikom niosącym pamięć o poległych (jego rzeźby zdobiją skwery w Anglii, Walii

czy Szkocji), ale zdarzało mu się zdołać ściany londyńskich kamienic płaskorzeźbami o bardziej przyziemnej wymowie. Kamienne panele cieszą oczy zapisem scen ulicznych. Kto w zabieganiu wzniesie wzrok ku górze dostrzeże kobietę sprzedającą lawendę, miejskiego krzykacza głoszącego wszem i wobec wieści wagi najwyższej czy wędrownego szlifiera noży nawołującego swych klientów równie mocnym głosem. Piękne rodzajowe sceny, na których równie dobrze mogłyby się znaleźć charakterystyczny angielski „dustman”. Stałby zapewne ubrany w swój skórzany kapelusz z rondem zakrywającym kark dzierżąc w dłoni dzwon, którym zwykł zawiadamiać o swym przybyciu. Drugą ręką trzymałby zapewne za uzdę konia ciągnącego charakterystyczną dwukółkę na wielkich drewnianych kołach.

Tym razem jednak śmieciarz miast zastępnąć w kamieniu pod dłutem Abbota Trenta odsłaniał jego dzieło w zastępstwie marszałka Douglasa Haiga, głównodowodzącego Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych w zakończonej przed trzema laty wojnie. Marszałek ponoć nie znalazł czasu, co chyba można traktować, jako szczęśliwe zrządzenie losu zważywszy na przydomek, jakim go obdarzono ze względu na skłonność do szafowania ofiarą swych podkomendnych. „Rzeźnika” zastąpił więc sierżant Bert Hanscombe, jeden z tuzina dzieci Sary Ann Hanscombe. Dwójka z nich zmarła w dzieciństwie. Gdy Wielka Brytania przystąpiła do wojny Sara od piętnastu lat była wdową. W skromnym domu samotnie wychowała córkę i dziewięciu synów. Począwszy od września 1914 roku, raz za razem żegnała swych ukochanych synów wyruszających na front. Jerzy, Franciszek, Stefan, Józef, Dawid, Fryderyk, Jakub, Ryszard i właśnie Bert. Dziewięć razy z ciężkim sercem odprowadzała ich wzrokiem na progu rodzinnego domu nie wiedząc czy jeszcze ich zobaczy. Ukradkiem łzy ocierała fartuchem. „Nigdy nie wierzyłam, że wszyscy wrócą” powie, gdy na kontynencie zamilkną frontowe działa a wszyscy jej synowie powrócą do domu. Żywi, choć w sumie dwadzieścia jeden razy ranni. Najciężej, o ironio Fryderyk, który jako jedyny pozostał na Wyspach i doznał poważnych obrażeń głowy podczas załadunku amunicji.

Bert trzykrotnie zmagął się z ranami. Pierwszy raz w październiku 1915 w bitwie pod Loos gdzie poprowadził atak uwięziony zdobyciem niemieckich okopów pod Hulluch.

W tych dniach pod Loose zginęło przeszło 59 tysięcy brytyjskich żołnierzy, wśród nich zapewne któryś z jego dziewiętnastu kolegów z pracy, śmieciarzy z Beckenham, z którymi na ochotnika zasilił szeregi 1 Batalionu pułku East Surrey. Bert przeżył, z raną postrzałową brzucha trafił do szpitala. Jaki hart ducha musiał charakteryzował owego szczupłego mężczyzna o lekko pociągłej twarzy, która spogląda na nas ze zdjęcia opublikowanego po wojnie w „Daily Mirror”, jeśli po piekle Loose na ochotnika powrócił ze szpitala nad Sommę? Tam w 1916 roku podczas ataku gazowego poważnie ucierpiał jego oczy. Podleczonej jeszcze raz powrócił na front gdzie w 1917 roku pod Cambrai jego oddział dostał się do niewoli. Bert zbiegł wraz z szóstką kolegów. Trzeci raz otrze się o śmierć w ostatnim roku wojny, ale tak jak pozostałych ośmiu braci cały wrócił do domu. Wrócili wszyscy ku ucieście biednej matki. Ich historia wobec ogromu ofiar, jakie pociągnęła za sobą wojna zdawała się tak niezwykła, iż o ich pierwszych na powrót wspólnych Świątach Bożego Narodzenia pisała lokalna prasa. Świątach skromnych, bo zwyczajowego indyka na stole Hanscombów musiała zastąpić potrawka z królika, a przecież jakże radosnych. Dumna mama prezentując list z podziękowaniem od króla Jerzego V żałowała jedynie, iż ojcu rodzeństwa nie dane było dożyć tej chwili. Ona sama nie doczekała dnia, w którym Bert odsłaniał pomnik ku czci poległych kolegów. Zmarła w 1920 roku.

Jeśli do tej pory to ja zmagając się z piórem dałem ponosić się grze skojarzeń mam pewność, że tym razem historia braci Hanscombe obudzi przedziwne uczucie déjà vu u czytelników. Pamięć przywiedzie obraz twarzy Toma Hanksa i Matta Damona. „Szeregowiec Rayan”. Historia o szlachetnej misji kapitana Millera, który na froncie w Normandii ma za zadanie odnaleźć szeregowca Jamesa Francis Rayana i odstawić go do domu. Zwrócić matce, której wojna w przeciągu tygodnia zabrała już trzech synów.

I ta historia wydarzyła się naprawdę. Braci w rzeczywistości było czterech: Frederick, Edward, Robert i Preston Nilandowie. Ich rodzice Augusta i Michael Niland mieli jeszcze dwie córki, ale tak jak w przypadku siostry braci Hanscombe historia wojen niesprawiedliwie pomija ich imiona. Niesprawiedliwie, bo przecież i one czekały powrotu swych braci i co dnia wspierały

rodziców. Jako pierwsza do domu w Tonawanda w stanie Nowy Jork (a nie jak chcą autorzy filmy w Iowa) dotarła wiadomość o śmierci najstarszego z braci. 20 maja 1944 roku sierżant Edward Niland radiooperator i strzelec w 434 Dywizjonie Bombowym został zestrzelony nad Birma. Dwa tygodnie później 6 czerwca w Neuville au Plain podczas krwawej, ale udanej operacji lądowania sprzymierzonych w Normandii zginął drugi z braci sierżant Robert Niland. Dzień później na normandzkiej plaży określanej kryptonimem „Utah” od kuli snajpera ginie porucznik Preston Niland. Czwartym z braci Fryderyk trafił na front w dniu śmierci Roberta, jako spadochroniarz zrzucony niedaleko Raffoville. Mniej więcej po tygodniu dociera do niego informacja o śmierci brata, który miał być pochowany na cmentarzu w miejscowości St. Mere Eglise. W poszukiwaniach pomaga mu kapelan 101 Dywizji Powietrznodesantowej ksiądz Franciszek Sampson. Gdy odnajduje grób przez chwilę zda mu się, że niesie mu zaskakująco dobrą nowinę. We wskazanym miejscu leży co prawda żołnierz o nazwisku Niland, ale nie Robert a Preston. Nie wie, że to drugi z braci Fryderyka.

Pod koniec lata 1944 roku ksiądz Sampson przyniesie mu informacje o rozkazie prezydenta Roosevelta odwołującym go z frontu, jako jedyne ocalałego syna Augusty Niland. Nie był to jak się zdaje efekt zwyczajowej wojskowej procedury. Może źródło szlachetnego gestu należy szukać w fakcie, iż jak wspomina bratanek Fryderyka ojciec braci podczas wojny amerykańsko – hiszpańskiej w 1898 roku służył pod komendą pułkownika Theodora Roosevelta. Fryderyk nie chciał wypełnić rozkazu, ale za namową księdza powrócił do domu. Ale to nie koniec tej interesującej opowieści odbiegającej mocno od fabuły filmu Stevena Spielberga. Oto do domu w Tonawanda powróci uznany za zmarłego Edward Niland. Zestrzelony nad Birma przeżył. Siedem dni wędrował przez dżunglę by dotrzeć do wioski, której mieszkańcy wydali go Japończykom. Czekał go prawie rok w japońskiej niewoli gdzie był głodzony i torturowany. Gdy uciekł z obozu ważył tylko 38 kilogramów. W rodzinnym przekazie zachowała się jego opowieść o tym jak podczas ucieczki legł na ziemi szukając chwili oddechu. Na wpół świadomy z wyczerpania miał usłyszeć strofujący głos swego brata Prestona „Ruszaj się, co z ciebie za żołnierz”.

Zerwał się z ziemi, którą chwilę potem przeszła seria z broni maszynowej. Jego powrót do domu nie był zaskoczeniem dla jego ojca. Michael Niland miał sen, w którym rozbił się samolot Edwarda, on sam zaś ocalał i rzekł „Wszystko w porządku tato, wracam do domu”. Wbrew więc oficjalnym wojskowym komunikatom zawsze czekało na niego miejsce przy stole. Bo wszystko jest kwestią wiary. Choć mniej jej w nas niżli ziarna gorczycy.

Myślę o tym a w wyobraźni przysiadam na ławeczce w Regis College w Toronto. Przysiadam niepewnie na jej krańcu, bo ławka jest już zajęta. Śpiącą sylwetkę o lekko podkulonych nogach skrywa coś, co zwać można derką czy kocem. Nie dostrzegam twarzy bezdomnego, materiał osłania ją na kształt kaptura. Na odkrytych stopach znać ślady po ukrzyżowaniu. Jak dla mnie najbardziej poruszająca ławeczka, najbardziej poruszająca rzeźba ostatnich lat. „Bezdomny Jezus” Timothy Schmaltz’a ...



Adam Przystupa

Autor Felietonów, Dyrektor ds. Środowiska i Relacji Zewnętrznych Kom-Eko, jest wnikliwym, pełnym humoru obserwatorem rzeczywistości.

Kochający życie rodzinne, dużą i małą Ojczyznę, Człowiek o ogromnej kulturze osobistej, miłośnik historii, dobrej literatury i muzyki Knopflera, zaangażowany w działania ekologiczne w Lublinie.

więcej felietonów
Adama Przystupy
można przeczytać
na stronie
[www.kom-eko.lublin.pl/
felietony](http://www.kom-eko.lublin.pl/felietony)



Nie czytajcie tego dzieciom!

Prawdziwy święty Mikołaj działa w ciszy, pokorze, bez rozgłosu.

ADAM PRYZSTUPA

Co do tego, kto przynosi prezenty 6 grudnia panuje w zasadzie jednomyślność, to czas świętego Mikołaja. Niezwykły to dzień, gdy solenizant miast otrzymywać prezenty zwykł obdarowywać innych. Niespełna trzy tygodnie później dopada nas syndrom podziału dzielnicowego. W widłach Wisły i Odry wyręcza świętego Gwiazdor, na Dolnym Śląsku – Gwiazdka, zaś na południu Polski – Józef, Dzieciątko czy Aniołek.

Święty z Miry.

Święty Mikołaj, późniejszy biskup Miry urodził się około 270 roku n.e. w mieście Patara w Licji, krainie położonej na południu dzisiejszej Turcji. Wedle najstarszego opisu życia świętego, autorstwa archimandryty Michała, pochodził on z zamożnej rodziny, jednak po śmierci rodziców rozdał cały swój majątek ubogim. Żył skromnie, dużo pościł. Chwałę przysparzało mu dobro, które czynił.

Najstarszy zachowany przekaz o świętym zwany „Praxis de stratelatis” (Oficerowie) opowiada o cudownym uratowaniu trzech namiestników, niesłusznie skazanych na karę śmierci przez cesarza Konstantyna Wielkiego. Biskup Miry miał się ukazać we śnie zarówno cesarzowi, jak i jego namiestnikowi Ablabiosowi by zaświadczyć o niewinności skazanych.

Powstająca przez wieki literatura hagiograficzna przytacza również opowieści, za sprawą których święty stał się patronem żeglarzy



czy flisaków. Pierwsza z nich „Praxis de nautis” (Żeglarze) opowiada o wyratowaniu załogi statku tonącego podczas sztormu. Święty kroczył po morzu jak po lądzie uciszył wiatr i fale. W drugiej zwanej „Praxis de navibus frumentariis in portu” (Zboże w porcie) Mikołaj jeszcze raz pojawia się we śnie, tym razem skłaniając kapitana statku płynącego z Aleksandrii do Konstantynopola by przerwał rejs i zawinął do portu w Andriake. Tam wyładowano na ląd sto korców zboża, które rozdzielono między głodujących mieszkańców Miry. Gdy statek dopłynął do Konstantynopola okazało się, że w jego ładowniach nie ubyło ładunku.

Najczęściej przytaczaną opowieścią o świętym biskupie jest historia o mieszkańcu Patry, który utracił swój dobytek. Był on chciwym i bogatym sąsiadem Mikołaja, który drwił z pobożności młodzieńca. Aż wreszcie przyszedł czas, gdy Bóg go ukarał i stracił swoje bogactwo. By się ratować sąsiad Mikołaja zamyślił wydać bogato swe trzy córki, jednak nie znalazł się nikt, kto wzięby za żonę pannę bez posagu. Chciwy ojciec postanowił sprzedać swe córki na czci i cnoty panieńskiej zatracenie i pewnie by tak uczynił gdyby nie Mikołaj. Ów by ratować dziewczęta pod osłoną nocy podrzucił przez okno mieszki ze złotem przeznaczonym na ich weselne wyprawy.

Wedle przekazów, jako biskup Miry zdobywał serca wiernych troską o bliźnich. Z narażeniem życia miał nieść pomoc podczas zarazy,

grzeszników przywoził przykładem do skruchy i nawrócenia. Więziony za wiarę za czasów cesarza Dioklecjana i Maksymiana zmarł szóste-go dnia grudnia około 345 roku. Pochowano go w Mirze, gdzie spoczywał do 1087 roku skąd jego doczesne szczątki przewieziono do bazyliki we włoskim mieście Bari. Podczas przenosin, kiedy podniesiono płytę sarkofagu okazało się, że kości świętego zanurzone są w bezbarwnej cieczy a może raczej oleju. Nazwano ową nieznanego pochodzenia substancję (badania wykluczyły przenikanie wód do grobowca) „manną świętego Mikołaja”. Do dziś ów olej zbierany jest raz w roku i rozdawany, jako relikwia pielgrzymom.

Cieszy się święty Mikołaj wielkim szacunkiem katolików, grekokatolików i prawosławnych. Jak mawiał papież Jan Paweł II „Kult świętego Mikołaja jest tym, co łączy dwa płuca Kościoła: Wschód i Zachód”. Warto zauważyć, iż w świadomości religijnej na Rusi aż do początku XX wieku rozpowszechnione było przekonanie, iż w skład Trójcy Świętej wchodzi Matka Boża, Zbawiciel i właśnie Mikołaj. O jego szczególnym znaczeniu świadczy również fakt, iż określenie „Mikołaj” stał się tam synonimem ikony. Świętego przedstawia się na nich w szatach biskupich obrządku wschodniego, odzianego w sticharion (odpowiednik alby), epitachelion (odpowiednik stuły), felerion (odpowiednik ornatu), palica (ozdobna chusta), omorfion (szarfa haftowana w równoramienne krzyże). Prawa wzniesiona ręka ma w geście błogosławieństwa trzy złączone palce symbolizujące dogmat Trójcy Świętej, w lewej ręce widnieje zwykle zamknięta lub otwarta Ewangelia. W malarstwie zachodnim w lewej dłoni świętego pojawia się pastorał, na jego głowie biskupia mitra (paliusz). Charakterystycznym motywem są również trzy złote kule symbolizujące historię wyratowania trzech dziewcząt z Patry.

Latające sanie.

Rzecz jasna, żadne z nas nigdy nie widziało świętego, co z podarkami w dzień swych imienin bądź w Wigilię się zakrada. Nigdy, bo choć pewnie czyhaliśmy na niego, przechytrył nas sprytem i obdarzył prezentami. Zresztą, daremne nasze wysiłki, bo prawdziwy święty Mikołaj działa w ciszy, pokorze, bez rozgłosu. Dane jest nam czasami jedynie oglądać jego pomocników, ubieranych wedle wyobrażenia, zda się na podobieństwo. Gdy spoglądam na zdjęcia z czasu swego

przedszkolnego dzieciństwa, odnajduję białobrodą postać zdobną jeszcze w biskupie atrybuty – z infułą na głowie i pastorałem w dłoni. Dziś coraz rzadszy to widok. Na ulicach i w galeriach handlowych spotkamy raczej postać przypominającą noszącego czerwone szaty krasnala.

Jeśli chcemy dociec, skąd wzięło się dzisiejsze baśniowe wyobrażenie świętego Mikołaja musimy powędrować do Nowego Jorku. Nim wyrósł on na najbardziej ludną metropolię Stanów Zjednoczonych, był ledwie faktorią handlową założoną przez holenderskich kolonistów. Gdy po czterdziestu latach władzę nad rozwijającym się miastem przejęli Anglicy zmienili jego nazwę - Nowy Amsterdam odszedł w zapomnienie. Łagodniej obeszli się z innym elementem holenderskiego dziedzictwa. Niepostrzeżenie przeniknęło do języka określenie Sinterklaas oznaczające świętego Mikołaja. Adoptowane w wersji fonetycznej ewoluowało by pod koniec XVIII stulecia przybrać tak intrygującą nas dziś formę Santa Claus. Gwoli ścisłości wspomnieć należy, iż holenderscy koloniści przywieźli ze sobą na Wschodnie Wybrzeże Ameryki wspomnienie świętego Mikołaja, który zwykł przybywać statkiem zza morza by darować dzieciom prezenty, w formie obyczaju mocno już odartego z religijnych skojarzeń. Szósty dzień grudnia w Holandii od czasu zwycięstwa Reformacji był już tylko Dniem Mikołaja, ale bynajmniej nie świętego. W takim też kształcie przyjęli świętego Mikołaja angielscy purytanie dzielący z holenderskimi kalwinami niechęć do kultu świętych oraz Bożego Narodzenia (akcentując przy tym wagę Świąt Wielkanocnych).

Przeszło dwieście lat później, 23 grudnia 1823 roku ujrzał światło dzienne wiersz „Wizyta Świętego Mikołaja” (znany również jako „Noc Wigilijna”) autorstwa nowojorczyka Clementa Clarke Moora. Profesor literatury orientalnej i greckiej w seminarium duchownym kościoła episkopalnego początkowo ze względu na swą reputację nie przyznawał się do wiersza, który napisał dla swych dzieci, a który do druku w gazecie wysłał jego przyjaciel. Trzeba było dwadzieścia jeden lat, by Moore „przyznał się do ojcostwa” i włączył „Wizytę Świętego Mikołaja” do wydanej w 1844 roku antologii swoich utworów. Owo wahanie sprawiło, że do dziś niektórzy literaturoznawcy sięgając wątpliwość, wskazują, iż wiersz mógł wyjść spod pióra spokrewnionego

z żoną Moora pułkownika Henrego Livingstona. Niezależnie, kto w rzeczywistości kreślił strofy „Wizyty Świętego Mikołaja” bez wątplenia znał wydaną dekadę wcześniej przez Washingtona Irvinga niezwykle popularną „Historię Nowego Jorku”, w której święty Mikołaj pałacy jeździ po szczytach drzew zaprzężonymi w konie saniami.

Święty Mikołaj u Moora jest nie wiedzieć czemu starym wesołym elfem, o różowym licu okolonym długą bielušką brodą. Biskup asceta z dalekiej Miry przemienił się w rubaszną postać niestroniącą - sądząc po dużym brzuchu, fajce w zębach i wiśniowym kolorze nosa - od przyziemnych uciech. Z racji pory roku Moor odział go w kożuszek mocno przybrudzony sadzą i popiołem. Czy czerwony? Tego nie dowiadujemy się z wiersza, ale tak można by domniemywać, jeśli podążać tropem holenderskiego dziedzictwa. Wszak Sinterklaas zwykł nosić czerwoną biskupią szatę zwaną mantoletem (w rzeczywistości czerwony mantolet przynależny jest kardynałom, biskupi noszą go w kolorze fioletowym).

Czerwony elf.

Co Clement Moore zostawił wyobraźni, ukonkretnił Thomas Nast. Parający się mocno zaangażowaną politycznie satyrą rysownik gazety „Harper’s Weekly” na okładce tygodnika, który trafił do rąk czytelników 3 stycznia 1863 roku przedstawił świętego Mikołaja rozdającego prezenty wśród żołnierzy. Podobnie jak w wierszu Clementa Moora ubrany jest w kożuszek, tyle tylko, że zdobiony gwiazdami z amerykańskiej flagi - a więc zapewne granatowy. Dopełniające komplety spodnie w pasy muszą być niechybnie biało-czerwone. Po raz pierwszy czerwone szaty pojawiają się na kolorowych ilustracjach z 1866 roku. Bez wątplenia był Thomas Nast uzdolnionym i sugestywnym rysownikiem. I jeśli twierdzi się dziś, że jego prace przyczyniły się do zwycięskich batalii wyborczych prezydentów Abrahama Lincolna i Ulyssesa Granta, równie uprawniona jest teza o jego odpowiedzialności za obecność w masowej wyobraźni otyłego mężczyzny o sumiastych wąsach, długiej białej brodzie, ogorziałych licach i nosie, w elfiej czapce i workiem pełnym prezentów na plecach. Ah, zapomnielibyśmy o fajce. Święty Mikołaj z rysunków Thomasa Nasta zgodnie z baśnią Clementa Moora palił długą, cieniutką fajeczkę.

Ów szkodliwy nałóg ulubiona przez wszystkie dzieci postać porzuci w 1931 roku. Wtedy to na zlecenie Coca-Coli nowe oblicze świętego Mikołaja namaluje Haddon Sundblom. W oczywisty sposób również i on nawiąże do „Wizyty Świętego Mikołaja”. I znów dostrzeżemy mocno zarumienione pulchne policzki okolone śnieżno-białą brodą, mocno zarysowany brzuch skryty pod czerwonym ubiorem podbitym białym kożuskiem. To akurat czytelne odwołanie do logo Coca-Coli, choć czerpiące z prac Thomasa Nasta. Mikołaj Sundblom zda się jeszcze bardziej jowialny, bardziej gładki, ale i on ma swoje słabości. Jako się rzekło nie zaciąga się już fajką, ale zdarza mu się wykradać co nieco z lodówki czy rozpakowywać nieprzeznaczone dla siebie prezenty. Prawdę mówiąc, przeglądając efekt wielu lat pracy Sundbloma (kolejne wizerunki świętego tworzył aż do 1964 roku) trudno znaleźć obraz, który uwieczniłby go wręczającego prezenty. Zwykle zdrożony gasi pragnienie reklamowanym przez siebie napojem.

Warto wszakże zauważyć, iż to bynajmniej nie Sundblom, czy jego pracodawcy są odpowiedzialni za marketingowe wykorzystanie świętego budzącego uśmiech na dziecięcych licach. W 1890 roku James Edgar prowadzący dom towarowy w miejscowości Brockton w stanie Massachusetts, jako pierwszy przebrał się za Mikołaja w okresie przedświątecznym. Zwykł zresztą przebierać się za różne postacie, ale właśnie ta przyciągała do sklepu dzieci wraz z rodzicami. Nie był przy tym ponoć James Edgar zwany przez wszystkich „Wujkiem Jimem” cynikiem, wręcz przeciwnie dzielił się swoją fortuną i pomagał innym w potrzebie. Wkrótce znalazł licznych naśladowców, tych wszystkich nagabujących nas w galeriach handlowych, tych za których sprawą Eric Bogle, Szkot z urodzenia, Australijczyk z wyboru, bard u nas niestety zgoła nieznanymi, napisał piosenkę „Bloody Santa Claus”. Gdy pyta, kto powoduje drenaż kart kredytowych, kto skłania by jeść i pić bez umiaru, kto robi wszystko by nas zwieść, nie czyni tego bez powodu.

Skąd ta Finlandia?

Jak święty Mikołaj zawędrował do Finlandii? Wróćmy raz jeszcze do wiersza Clarka Moora. Mikołaj, któremu przyszło z prezentami przeskakać przez komin, na dach domu zawędrował z pomocą sań. Zważywszy na zimową porę,

nie byłoby w tym nic dziwnego, ale po dachach nowojorskich domów stukoczą kopyta nie koni a reniferów (ten motyw Moore zaczerpnął zapewne z anonimowego wiersza „Old Santeclaus with Much Delight” opublikowanego w 1821 roku w książeczce „Przyjaciół dzieci: prezent noworoczny”). Reny zaś jak wiadomo, są gatunkiem jeleniowatych przypisanym do arktycznej tundry. W ten oto sposób wyobraźnia profesora sprawiła, iż święty, który dotąd wedle legendy przybywał z południa, począł zakradać się do domostw od północy. Miało to, powtórzmy, znamiona logiki lub jak kto woli dopełniających się elementów układanki - jeżeli święta i prezenty to grudzień, a jeżeli grudzień to śnieg, jeśli zaś śnieg to przybysz ze śnieżnej krainy.

W mikołajowym zaprzęgu trzodzi się wedle wiersza osiem reniferów: Fircyk (Dasher), Tancerz (Dancer), Pyszałek (Prancer), Złośnik (Vixen), Kometek (Comet), Amorek (Cupid), Profesor (Donner), Błyskawica (Blitzen). Z czasem dołączył do nich Rudolf Czerwononosy, syn Profesora (rzecz jasna nie Clarka Moora, a Donnera, jednego z pierwszych ośmiu reniferów), który zrzędzeniem losu urodził się ze świecącym czerwonym nosem. Owa przypadłość ściągnęła nań docinki i brak akceptacji ze strony innych reniferów. Do czasu. Do czasu, aż jego nos rozświetlił drogę świętego Mikołaja w mglistą noc ratując jego doroczną misję. Od tej pory Rudolf na stałe zagościł w zaprzęgu. Zawdzięcza to Robertowi L. May, który wymyślił jego historię w 1939 roku na potrzeby świątecznej książeczki sprzedawanej przez nieistniejącą już sieć sklepów detalicznych Montgomery Ward. Opowieść postanowił zaadoptować na potrzeby piosenki szwagier May’a Johny Marks. W Boże Narodzenie 1949 roku skoczna piosenka „Rudolph, Red-Nosed Reindeer” wykonana przez „śpiewającego kowboja” Gene Autry podbiła listy przebojów i wchodząc do zamorskiego kanonu zimowych melodii utrwaliła baśń o zaprzęgu świętego Mikołaja.

Czytając ten wywód można by sądzić, iż baśniowy święty Mikołaj zwykł pomieszkiwać gdzieś daleko na północy kanadyjskiej tundry, podczas

gdy większość dzieci zapytana wskaże na śnieżną Finlandię. Zdomowił się tam ponoć za sprawą Markusa Rautio prowadzącego w fińskim radio w latach 1926 - 1956 audycję dla dzieci. Zachęcający maluchy do jedzenia owsianki „Wujek Rautio” miał w 1927 roku podczas jednej z audycji opowiedzieć iż święty zamieszkuje na górze Korvatunturi przypominającej kształtem ludzkie ucho. Z racji swego kształtu Góra Ucho najbardziej nadawała się na miejsce, gdzie Mikołaj wsłuchuje się w dziecięce prośby o prezenty, ale również doskonale słyszy dziecięce



napady złości. Biograf Rautiego, Paavo Oinonen twierdzi wszakże, że radiowiec nigdy nie przypisywał sobie autorstwa tego pomysłu i być może zasłyszał ją gdzieś podczas licznych podróży.

Pomysł by Finlandia stała się domem świętego Mikołaja wydał się doskonałym, aby wspierać poczucie wspólnoty narodu, który ledwie dziesięć lat wcześniej ogłosił swą niepodległość. Kiedy więc w 1940 roku w wyniku Wojny Zimowej nastąpiło przesunięcie granicy z Sowietami i Góra Ucho tylko w połowie pozostała po stronie fińskiej, władze Finlandii przekwaterowały świętego Mikołaja. Od tej pory powiadają, iż mieszka on w położonym blisko koła podbiegunowego Rovaniemi. Tam też, co roku do pobudowanej w 1985 roku wioski świętego trafiają listy od dzieci z całego świata.

Opacznie zrozumiane

Kontynuując wątek weselny sięgam po piosenkę, która ku zaskoczeniu autora bywa wybierana przez nowożeńców by otworzyć pierwszym tańcem weselną biesiadę. Piosnka taka winna w pierwszej kolejności snuć się w rytmie zbliżonym do walca, a przynajmniej dać się do kroków tego tańca lepiej lub gorzej zaadoptować, w drugiej nieco roztkliwiać podkreślając wyjątkowość i niepowtarzalność tej chwili.

Efektem natłoku utworów anglojęzycznych w towarzyszących nam mediach jest w oczywisty sposób kierowanie naszej uwagi w stronę piosenek pisanych w języku Szekspira. Wedle bowiem starej zasady najbardziej podobają się nam melodie, które już słyszeliśmy, a zwłaszcza te słyszane po wielokroć. W przypadku piosenki spisanej w obcym nam języku gorzej jest rzecz jasna ze znajomością tekstu, ale czasami zda się, iż wystarczy wysiłek włożony w tłumaczenie tytułu.

Stąd zdarza się, iż na progu

wspólnego życia młoda para wiruje w otoczeniu gości weselnych przy dźwiękach „Every Breath You Take” zespołu The Police. Patrząc sobie w oczy powtarzają słowa o owym każdym oddechu, które on bądź ona rzecz jasna w przenośni i romantycznie skrada, z nadzieją iż czynić to będą bez końca. Problem tylko w tym, iż owa piosenka to w intencji autora Gordona Sumnera nie wyznanie szczerej miłości a raczej spowiedź żyjącego obsesją prześladowcy. Sam Sting określał ją jako złowróżbną poirytowany mylną interpretacją słuchaczy. A fakt, iż czyjeś wesele otwiera utwór, który można uznać za reminiscencję rozbicia przez lidera The Police swego własnego małżeństwa trudno nazwać inaczej niż paradoksem.

Lekki uśmiech błąka się na ustach także wtedy, gdy tańczącej parze towarzyszy wyśpiewane przez Whitney Houston wyznanie „I Will Always Love You”. Zważywszy, iż większość z nas kojarzy ową piosenkę z filmem „Bodyguard”

zrozumiałe że chcielibyśmy w niej dostrzegać opowieść o uczuciu, które przewycięża przeciwności losu. Wirują tedy kolejne młode pary podśpiewując w tańcu za prowadzącym głosem Whitney „So, goodbye. Please, don't cry. We both know I'm not what you, you need” co można tłumaczyć jako „Więc żegnaj i proszę nie płacz. Oboje wiemy, że nie jestem tym czego pragniesz”. Cóż... „I Will Always Love You” napisała w 1973 roku Dolly Parton rozstając się z piosenkarzem Porterem Wagonerem, z którym przez siedem lat występowała w duecie w jego programie telewizyjnym „The Porter Wagoner Show”. Wagoner jak się zdaje nie docenił jej intencji i pozwał Parton za złamanie umowy i odejście z programu.

Na usprawiedliwienie nowożeńców rzecz można, iż wbrew intencjom autorów obie piosenki jako songi miłosne zwykło się interpretować w krainach gdzie język angielski nauczany jest od kołyski. Co jednak począć, gdy zaskakują nas

ballady kreślone w mowie powitej wśród szeptliwych brzóz? Nieprzypadkowo z lekka rozpoetyzowałem akapit, bo zdarza się, że powitawszy gości młoda para rusza do tańca z pierwszymi słowami „Niebieskiej piosenki” Grzegorza Tomczaka. Zda się nie może być inaczej bo przecież, w tym wyjątkowo pięknym tekście:

„...do walca złączą
grać.
Ja wtedy z pierwszym
taktem
poproszę cię i raptem
zaczniemy wirować,
wolniutko walcować
i kręcąc się kręcić -
na palcach, na pięcie,
troszeczkę bezmyślnie
-
jak wiosną
przebiśnieg...”

Nie sposób nie dać się uwieść tej piosence. Dojrzały, mądry tekst i prosty pozbawiony egzaltacji - często obecnej w kręgu piosenki autorskiej - śpiew. O takich jak Grzegorz

Tomczak zwykło się pisać - bard z gitarą, choć on sam coraz rzadziej sięga po ów instrument. Zważywszy na kształt rodzimego rynku muzycznego jego twórczość nosi może niezastuzone miano niszowej. A przecież już 1979 roku wygrał Festiwal Piosenki Studenckiej w Krakowie, a potem jego teksty śpiewali Andrzej Zaucha, Zbigniew Wodecki, czy wreszcie Maryla Rodowicz by wspomnieć „Tango, na głos, orkiestrę i jeszcze jeden głos” z niezapomnianym fragmentem „Ty to masz szczęście, że w tym momencie żyć ci przyszło w kraju nad Wisłą...”. W roku 2009 jego liryczny duet z Iwoną Loranc „Szukałem cię wśród jabłek” przez dwa tygodnie zajmował pierwsze miejsce na trójkowej liście przebojów.

Zachwyca się tekstem „Niebieskiej piosenki” jak mało którym i w istocie nie dziwie się nowożeńcom. Jak po nią nie sięgnąć słysząc, że:

„...Pan dał mi właśnie
ciebie
w radości
i w potrzebie,
na lepsze i na złe...”

Nie, to że bohaterowie „Niebieskiej piosenki” stają z bagażem swych lat przed Panem, zadziwionym że to już ich czas, to nieistotne. A może właśnie istotne? Może właśnie tak ma być, że piosenka o wspólnym szczęśliwym kresie towarzyszy tym co na progu. Choćby wbrew intencjom autora, który w istocie jak mawiał Mark Knopfler jest tylko akuszerem piosenek, które pchają się na świat by później żyć własnym życiem.

Miłego słuchania...





W krainie snajperów

ADAM PRZYSTUPA

Rozpieszcza nas Robert Lewandowski z niezwykłą regularnością umieszczając piłkę w bramce rywali. Kolejne trafienia kapitana naszej reprezentacji powoli przyjmujemy, jako rzecz oczywistą. Ba, każdy występ nieokraszony golem daje powód do siania nieuprawnionych wątpliwości, co do klasy, formy czy zaangażowania. Tymczasem Robert Lewandowski pochwalić się może na dzień dzisiejszy mianem:

- najskuteczniejszego zawodnika reprezentacji Polski - 51 goli,
- najskuteczniejszego zawodnika eliminacji XV Mistrzostw Europy (Francja 2016) - 13 goli,
- najskuteczniejszego zawodnika eliminacji XXI Mistrzostw Świata (Rosja 2018) - 16 goli,
- króla strzelców polskiej ligi - 2010 (18 goli w barwach Lecha Poznań),
- dwukrotnego króla strzelców ligi niemieckiej - 2014 (20 goli w barwach Borussia Dortmund), 2016 (30 goli w barwach Bayernu Monachium).

W naszą pamięć wpisują się rzecz jasna nie tyle same suche liczby, co obrazy efektownie zdobywanych bramek. Zwłaszcza tych pięciu strzelonych w przeciągu 9 minut w spotkaniu Bayernu Monachium z VfL Wolfsburg.

Liczby przywoływane po latach, zwłaszcza w przypadku napastników przemawiają do wyobraźni. Nie sposób przejść obojętnie obok

Irańczyka Ali Daei, który liczbę zdobytych bramek w reprezentacji wyrównał do nieosiągalnego póki co dla innych poziomu 109 trafień uzyskanych w 149 spotkaniach. Zapewne zdobywanie bramek na kontynencie azjatyckim przychodzi o wiele łatwiej niż w Europie czy Ameryce Płd., ale fakt pozostaje faktem, były zawodnik Bayernu Monachium i Herthy Berlin pozostawił w pokonanym polu m.in. Ferencu Puskasa (84 gole) i Pele (77 goli). Najślynniejszy z Brazylijczyków nie jest również, jak można by sądzić rekordzistą w ilości bramek zdobytych podczas całej piłkarskiej kariery. Księga Rekordów Guinnessa podaje ich 1284 w 1363 meczach, zaś Międzynarodowa Federacja Historyków i Statystyków Futbolu - 1283 w 1375 spotkaniach. Ale nawet te liczby błędą przy osiągnięciach zapomnianego już dziś reprezentanta Austrii i Czechosłowacji Josefa Bicana, który w latach 1925 - 1955 uzbierał 1468 trafień do bramek rywali. Jeśli z tej liczby odrzucić mecze nieoficjalne i tak pozostaje niedościgłym wzorem - 805 goli w 530 spotkaniach. Równie mocno oddziałuje na wyobraźnię 10 bramek zdobytych w jednym spotkaniu przez napastnika reprezentacji Polski Ernesta Wilimowskiego (12 maja 1939, Ruch Chorzów-UnionTouring Łódź 12:0).

A jak wyglądają osiągnięcia innych polskich snajperów? Po koronę króla strzelców pamiętnych dla nas mistrzostw świata w 1974 sięgnął zdobywając 7 bramek Grzegorz Lato. Trzykrotnie

Mecz Ruch Hajduki Wielkie - Dąb Katowice - 1936 r. Ze zbiorów NAC.

polscy napastnicy zdobywali tytuły najskuteczniejszych zawodników Igrzysk Olimpijskich:

1972 - Monachium - Kazimierz Deyna - 9

1976 - Montreal - Andrzej Szarmach - 6

1992 - Barcelona - Andrzej Juskowiak - 7

Można rzecz jasna wybrzydzać, iż obsada turniejów piłkarskich na igrzyskach nigdy nie równała się finałom mistrzostw świata, ale na liście najlepszych strzelców obok naszych rodaków figurują tacy zawodnicy jak Szwed Gunnar Nordhal (1948 - Londyn) - najskuteczniejszy strzelec w historii AC Milan (210 goli), Brazylijczyk Romario (1988 - Seul), czy jego rodak Bebeto (1996 - Atlanta). Ten ostatni do historii piłki nożnej przeszedł nie tylko, jako późniejszy mistrz i wicemistrz globu, ale również, jako wynalazca gestu „kołyski”, którym dedykował właśnie narodzonemu dziecku strzelonego



Piłkarz Ernest Wilimowski - 1936 r. Ze zbiorów NAC.

gola.

Wobec miernych występów polskich zespołów w europejskich pucharach, mało kto już dziś pamięta, iż i w takich okolicznościach nasi rodacy seryjnie trafiali do siatki przeciwników. W sezonie 1969/1970, w którym piłkarze Górnika Zabrze pokonując kolejno Olympiakos Pireus, Glasgow Rangers, Lewski Spartak Sofia i AS Roma dotarli do finału Pucharu Zdobywców Pucharów gdzie ulegli Manchesterowi City miano najlepszego strzelca rozgrywek przypadło Włodzimierzowi

Lubańskiemu (7 bramek). W kolejnym roku Manchester City raz jeszcze stanął na drodze zabrzany eliminując ich w meczach ćwierćfinałowych. Mimo to Włodzimierz Lubański jeszcze raz okazał się najskuteczniejszym zawodnikiem rozgrywek zdobywając 8 goli.

O ile Włodzimierz Lubański to jeden z najlepszych zawodników w historii polskiej piłki nożnej, o tyle nazwisko Tomasza Kulawika pozostaje w pamięci przede wszystkim krakowskich kibiców. A jednak to pomocnik Wisły Kraków zdobywając w sezonie 1989/1999 osiem goli dzielił wraz z dwoma innymi piłkarzami (Enrico Chiesa z Parmy i Darko Kovačevićem z Realu Sociedad) tytuł najlepszego strzelca batalii o Puchar UEFA.

Na koniec wspomnieć należy o naszych rodakach, którzy sięgali podobnie jak Robert Lewandowski po korony należne zdobywcom największej ilości goli w rozgrywkach ligowych w innych krajach. Jako pierwszy pochwalić się tym osiągnięciem mógł obieżyświat z Opola - Marek Czakon, który w 1990 roku okazał się najskuteczniejszym zawodnikiem ligi fińskiej (16 trafień w barwach Ilves Tampere). Wędrując po mapie Europy w kierunku południowym wypada zatrzymać się przy lidze belgijskiej, gdzie w roku 2017 tryumfował Łukasz Teodorczyk (22 gole). Warto również pamiętać, iż te same barwy Anderlechtu Bruksela reprezentował najskuteczniejszy w sezonie 200/2001, urodzony w Poznaniu, choć reprezentujący Kanadę Tomasz Radziński.

Rzecz można, że im dalej na południe, im bardziej słoneczne niebo, tym bardziej przyjazny klimat dla polskich napastników. Na miano legendy Panathinaikosu Ateny zapracował Krzysztof Warzycha. Niespełniony w reprezentacji narodowej trzykrotnie sięgał po tytuł króla strzelców greckiej ekstraklasy (1994 - 24 gole, 1995 - 29 goli, 1998 - 32 gole). Pięciokrotnie po podobne miano sięgali Polacy na Cyprze. Pierwszy w 2002 roku Wojciech Kowalczyk (22 gole w barwach Anarthosis Famagusta), po nim uczynił to cztery razy krakowianin Łukasz Sosin (2004 - 21 goli, 2005 - 21 goli, 2006 - 28 goli, 2008 - 16 goli), jako piłkarz Apollonu Limassol i Anarthosis w 2008 roku.

A gdzie w tej opowieści bliscy memu sercu lublinianie? Zwolna zaciera się w pamięci tytuł króla strzelców polskiej ekstraklasy należny za sezon 1984/1985 pomocnikowi Motoru Lublin Leszkowi Iwanickiemu (14 bramek).

Iris folding na Święta

ADAM PRYZSTUPA

Święta Bożego Narodzenia to w naszej tradycji święta o najbardziej rodzinnym charakterze. To czas, w którym winniśmy znaleźć więcej niż zwykle czasu dla najbliższych. To okazja nie tylko ku temu by wspólnie zasiąść za wigilijnym i świątecznym stołem, ale również by inne rzeczy czynić wspólnie – rodzice z dziećmi czy dziadkami.

Dziś proponuję okołoswiąteczną wspólną zabawę w iris folding. Czym jest iris folding? To wymyślona przez holenderskich rzemieślników technika plastyczna, za sprawą której korzystając ze skrawków czy ścinzków kolorowych papierów, czasem wstążek, tworzyć można przeróżne cudowne kartki świąteczne, imienninowe, okolicznościowe czy obrazki. Zważywszy na materiał, z jakiego można je tworzyć możemy iris folding uznać za technikę noszącą znamiona recyklingu.

Zważywszy na nadchodzące Święta proponuję wykonanie aniołka, który wedle uznania może stanowić samoistny obrazek, lub element samodzielnie wykonanej kartki świątecznej.

Do wykonania iris folding będą nam potrzebne:

- szablon wzoru, który przygotowałem - tekturowa kartka stanowiąca bazę kompozycji (wielkość i kolor wg uznania)
- kartki kolorowego papieru
- klej (niektórzy używają również taśmy klejącej).



Krok 1 – W tekturowej kartce stanowiącej bazę kompozycji wycinamy kształt (kontur) aniołka z szablonu

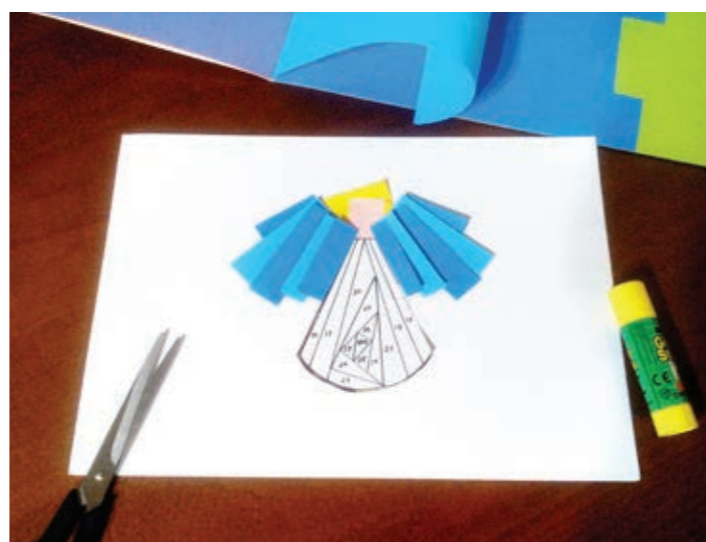
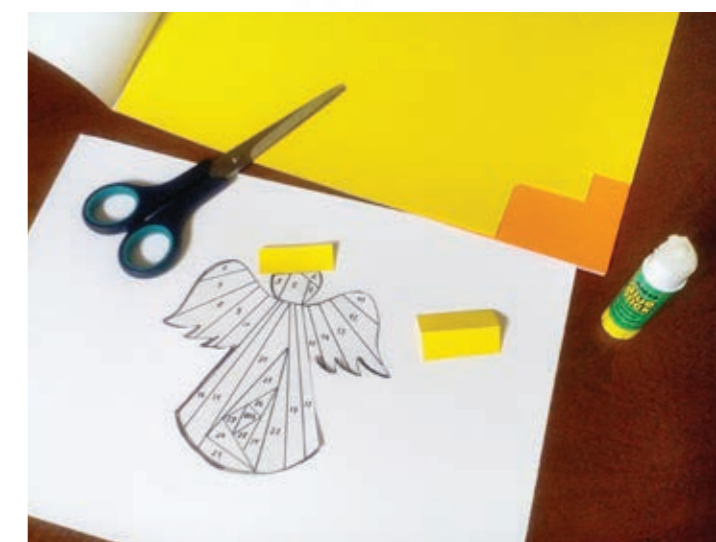
Krok 2 - Przyklejamy taśmą szablon do bazy kartki po „prawej” stronie, pamiętając by nie uszkodzić bazy. Najlepiej zrobić to taśmą klejącą, którą da się łatwo odkleić. Następnie z papieru kolorowego wycinamy paski papieru w wybranym przez nas kolorze. Pocięte paski składamy na pół wzdłuż dłuższej krawędzi. Paski będziemy przyklejać do tekturowej kartki według szablonu. Kolejność przyklejania określają cyfry na szablonie.

Krok 3 – Przyklejając każdy kolejny pasek zakrywamy nim kolejne oznaczone cyframi pola. Krawędź złożenia każdego z pasków kierujemy do środka wzoru. Kolejny pasek układany jest na poprzednik na tzw. zakładkę. Uważamy by nie przykleić pasków do szablonu.

Krok 4 – Doklejając ostatni pasek papieru, możemy czuć się trochę zaniepokojeni, co do efektu naszej pracy, ale spokojnie by go obejrzyć musimy odwrócić tekturową kartką na drugą stronę.

Krok 5 – Po odwróceniu kartki delikatnie odklejamy szablon. Oto efekt.

Powodzenia!



Efekt końcowy będzie widoczny po odwróceniu karki.

KTO JEST LASU PRZYJACIELEM?

ADAM PRYZSTUPA

Kto jest lasu przyjacielem?
Prawić o tym można wiele

Lecz czy prawdy jest w tym krztyńka
Poznasz dziecię po uczynkach

Kto się ognia w nim wystrzega
Kto nie krzyczy i nie biega

Płosząc ptaki i zwierzęta
By nie śmiecić, kto pamięta

Wreszcie, komu w czas zimowy
Przyjdzie pomysł ten do głowy

By odśnieżyć w trudzie, w znoju
Leśny szlak do wodopoju

Napotkane niszczyć wnyki
Kłaść w paśnikach smakołyki

Tego można myśle śmieie
Nazwać lasu przyjacielem

Przyjaźń miewa to do siebie
Że doznajesz jej w potrzebie

10 lutego 2015

Nasze codzienne zmagania ze śmieciami zdać się mogą tematem bardzo przyziemnym. Tymczasem wysoko w górze zawisło coś, co niespodziewanie może nas przyprawić o ból głowy. Przy braku szczęścia może nas nawet o ową głowę skrócić.

Czymże innym, jeśli nie zrzadzeniem losu tłumaczyć fakt, iż nikt nie ucierpiał, gdy w nocy 3 na 4 października 2010 roku na wioskę w chińskiej prowincji Jiangxi spadły fragmenty rakiet, która kilka dni wcześniej wyniosła nowego satelitę na orbitę księżycą. Tymczasem ponad naszymi głowami krąży ponad 27 tysięcy obiektów postrzeganych jako śmiecie, z czego stała obserwacją na początku bieżącego roku objęte były jedynie około 17 750. Nestor śmietnika to wystrzelony przez Amerykanów w 1958 roku pierwszy sztuczny satelita Vanguard I. Obok niego w przestrzeni kosmicznej dryfują inne nieczynne satelity, duże fragmenty rakiet i całkiem małe liczące kilka milimetrów oderwane fragmenty ich izolacji. Gdzieś wśród nich błakała się rękawica zagubiona podczas kosmicznego spaceru w 1965 roku przez amerykańskiego astronautę Eda White'a, czy szpachelkę, którą w 2006 roku Piers Seller utracił nakładając materiał na osłony termiczne wahadłowca. Dryfują z prędkością bagatela 8 kilometrów na sekundę stanowiąc

zagrożenia dla aktualnie pracujących na orbitach satelitów, a tych w połowie 2016 roku było około 1400. Efekt zderzenia z tak rozpędzonym przedmiotem o średnicy ledwie jednego centymetra porównać można do uderzenia kuli do kręgli rozpędzonej do prędkości 480 kilometrów na godzinę.

Naukowcy powiadają, że większość tych śmieci nie zagraża bezpośrednio mieszkańcom Ziemi.

kosmiczna
śmieciarka

Przebiega każdego dnia z orbity spadają jeden z obserwowanych odpadów by spłonąć w atmosferze nim zetknie się z powierzchnią naszej planety. A jednak w 1997 roku w okolicy Georgetown w Teksasie spadł niemal nieuszkodzony zbiornik paliwa rakiety nośnej Delta II ważący, bagatela 250 kg. By uniknąć takich przypadków, a przede wszystkim by ograniczyć ryzyko grożące astronautom przebywającym na międzynarodowej stacji kosmicznej od lat poszukuje się skutecznych rozwiązań likwidacji kosmicznego dzikiego wysypiska. Że nie jest to sprawa prosta przekonali się w lutym 2017 roku Japończycy. Naukowcy z Japońskiej Agencji Kosmicznej (JAXA) przy wsparciu

producentów sieci rybackich stworzyli elektrodynamiczną 700-metrową linię, która wystrzelona ze statku kosmicznego miała wytwarzać pole magnetyczne spowalniające ruch śmieci i spychające je na niższą orbitę. Przeznaczeniem śmieci byłoby spłonąć w ziemskiej atmosferze. Niestety misja statku Kōnotori zakończyła się fiaskiem i to on miast śmieci uległ zniszczeniu wchodząc w atmosferę Ziemi.

W poszukiwaniu zgoła innego rozwiązania zaangażowani są polscy naukowcy. W ramach inicjatywy CleanSpece na zlecenie Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA) polsko-włoskie konsorcjum (w jego skład wchodzi włoska firma STAM, warszawska spółka SKA Polska Sp. z o.o. oraz mieszcząca się w Słupsku firma OptiNova) realizuje projekt „kosmicznej śmieciarki”. Jej celem jest zbliżenie się do obiektu, przechwycenie w wystrzelowaną w jego kierunku sieć a następnie odholowanie i doprowadzenia do kontrolowanego spalania w atmosferze. Zaletą zastosowania

sieci o docelowych rozmiarach 30m x 30m jest duża tolerancja na kształt celu i jego ruch względem „śmieciarki”. Pierwsze, zakończone powodzeniem, testy urządzenia prowadzone były jeszcze w lutym 2015 roku w Kanadzie w sztucznie wytworzonych warunkach mikro nieważkości. W lipcu 2017 roku ogólnopolskie media donosiły o kolejnych badaniach modelowych realizowanych w Polsce na wysokości 25 metrów przy użyciu sieci o docelowych rozmiarach. Czy projekt z fazy badań przejdzie w fazę realizacji? Zobaczymy. Decydujące będą testy pomocy rakiety sondującej, na wysokości około 30 kilometrów, w warunkach bardziej zbliżonych do tych panujących w kosmosie. Na nie jednak musimy jeszcze troszkę poczekać.

Tymczasem według doniesień mediów inna polska firma SatRevolution S.A. pracuje nad silnikiem jonowym napędzającym satelity, charakteryzującym się wyższą wydajnością w porównaniu do powszechnie stosowanych silników chemicznych. Ze względu na zastosowane paliwo (teflon) silnik jonowy ma znacząco wydłużyć czas użytkowania małych satelitów typu Cube Sat, zapewnić większą ich stabilność podczas pracy na orbicie oraz możliwość sterowania obiektem przy sprowadzaniu go na niższe orbity celem spalania w atmosferze.

ANEGDOTY ADAM PRYZSTUPA

Zdarzyło się naprawdę

Trudne początki.

Powiedzieć, że początki były trudne to w istocie nic nie powiedzieć. Na szczęście na dzień przed premierowym przejazdem bryczki przez lubelskie Stare Miasto wiedzieli o tym tylko nieliczni. Mozolne próby w gościnnych ogrodach klasztoru sióstr Urszulanek utwierdziły nas tylko w tym, iż nasz kochany Iwan obok łagodności i inteligencji przypisanej huculskim konikom odziedziczył po swych przodkach upór. Nawykły do pracy z chorymi dziećmi umyślił sobie, iż zaprzęgnięty do pojazdu kroczyć będzie dostojnie nieustannie niczym na maneżu zataczając okręgi. Czynił to nie wiedząc czemu doprowadzając nas niemal do rozpaczki tylko w jednym kierunku. Niewielkie rozmiary klasztorowego ogrodu nie pozwalały na wiele, ale metodą kolejnych prób odkryliśmy, iż jeśli Iwan będzie miał szansę się rozpędzić jest nadzieja że nasz plan się powiedzie. Stąd ów premierowy przejazd rozpoczął nie przed zabytkowym budynkiem Trybunału Koronnego gdzie czekali na niego dziennikarze i oficjele, ale 200 metrów dalej, w okolicach Placu Po Farze.

Kto był 21 września 2007 roku około godziny jedenastej na Starym Mieście zaświadczy, że inauguracja wypadła okazale. W blasku fleszy, w obecności władz miasta pojazd przemierzył zaplanowaną trasę przykuwając uwagę przechodniów. Kto wie czy nie większe zainteresowanie a nawet sensację, wzbudził próbny przejazd, którego przypadkowym świadkiem dwie godziny wcześniej była grupka azjatyckich turystów. Jako się rzekło, w celu roztrenowania Iwan począł stępa piąć się pod górę brukowaną traktem od Bramy Grodzkiej. Nagle ku naszemu zaskoczeniu jego krok na wysokości uliczek, w których na planie serialu „Czarne Chmury” główny bohater zmagał się z ludźmi elektora, przeszedł w kłus. Przecieraliśmy ze zdumienia oczy gdy galopem pokonał pełne cztery okrążenia wokół budynku Trybunału Koronnego wprawiając zagranicznych gości w osłupienie przechodzące w zachwyty. Szum strzelających migawek w aparatach przewyższył zapewne głośnością późniejsze wyczyny fotoreporterów.

Siodełko.

Mail, który wpłynął do Biura Obsługi Klienta opatrzone był złowróżbnym tytułem „Skarga na ponie-sioną szkodę”. Jego lektura, z każdym odczytowanym słowem krzesłała wszakże na ustach uśmiech. „Dnia 24 lipca 2013 w godz. 10:00 – 12:00 koń należący do Kom-Eko obgryzł i przeżuł żelową nakładkę na siodełko oraz nadgryzł samo siodełko w moim rowerze zaparkowanym na rynku Starego Miasta w Lublinie”. W dalszych słowach zaskakującej korespondencji niewątpliwie uszkodzony pan Wojciech domagał się od Kom-Eko „wyrównania straty” wskazując, iż „Ekipa TVP Lublin nagrała cały incydent i opublikowała go w lokalnej telewizji”. Fragment dotyczący telewizji na pierwszy rzut oka wyglądał irracjonalnie, rzecz jednak miała się następująco.

Pan Wojciech zaparkował rower przy Trybunale Koronnym około godziny 10.00. Kiedy po pracy około godz. 19.00 wrócił by odpiąć swój bocykl zrozumiał, że powrót do domu nie będzie sprawą łatwą. Siodełko roweru nie wiedzieć dlaczego było w opłakanym stanie. Poszarpane, nie wiedzieć przez kogo pogryzione. Wrócił jak mniemam sfrustrowany do domu by wieczorem zasiąść przed telewizorem. Jakież musiało być jego zdziwienie gdy w „Panoramie Lubelskiej” ujrzał swój rower. Pan redaktor dywagował na temat możliwości powrotu dorożek na urokliwe uliczki Kazimierza Dolnego, na ekranie zaś przy Trybunale obok jego roweru stał przywiązany koń z powozem KOM-EKO. Mało powiedzieć stał. On w najlepsze zjadał się jego siodełkiem! Pan Wojciech wiedział już wszystko...

Jaki był finał tej opowieści? Właściciel roweru okazał się człowiekiem obdarzonym poczuciem humoru, KOM-EKO sprezentowało mu nowe siodełko, zaś stare siedzisko na szczęście nie zaszkodziło czworonogowi.

PRZEZ ŻOŁĄDEK DO SERCA BEATA GROEN



FOTO: z archiwów prywatnych

Coma mango do kurczaka?

Poza tym, że razem smakują rewelacyjnie to chyba nic więcej.

A zatem, aby się o tym przekonać należy nabyć następujące produkty:

Pierś z kurczaka (może być indycza): Mięsko należy na kilka godzin zostawić w zalewie przygotowanej z: oleju, odrobiny przyprawy typu „jarzynka”, oregano, tymianku, czosnku, soli i pieprzu. Następnie obsmażyć z obu stron, przełożyć do naczynia żaroodpornego, piec pod przykryciem ok ½ h i ok 5-10 min bez przykrycia, aby ładnie się zarumieniło.

Chutney z mango: Duży owoc mango pokroić na kawałki, przełożyć do rondelka, podlać odrobiną wody, dodać 1 łyżkę octu jabłkowego, 2 łyżeczki cukru brązowego, 1 łyżkę miodu, doprawić solą, imbirem, czosnkiem, ostrą papryczką. Powinien dominować smak pikantno-słodki. Owoce z przyprawami należy dusić na małym ogniu ok. półtorej godziny do zgęstnienia. Oczywiście konfiturę można przygotować wcześniej, przechowując do 2 dni w lodówce lub zapasteryzować.

Ryż. Proponuję ryż Basmati z powodu bardzo przyjemnego charakterystycznego smaku, oraz możliwości zrobienia efektownych „babeczek” na talerzu. Ryż ten nie jest ani za bardzo lepiący, ani za sypki taki w sam raz.

I wreszcie super surówka. Świeże liście szpinaku, białe i czerwone winogrona, żółty ser starty na grubych oczkach. Przed podaniem połączyć niedużą ilością sosiku przygotowanego z oliwy, soli, pieprzu, soku z cytryny i odrobiny miodu. Udekorować sosem balsamicznym.

| | | | | | | | | | |
|------------------|-------------|-------------------------|-------------------|---|--------------------|-----------|----------------|---|---------------|
| | NA ZŁAMANIE | ULICZNY CZERWONY SOS | | 9 | WYWOZI ODPADY | | Z NIEBA | PRZYDZIAŁA ZADANIA KOT W PASKI | |
| | NA DACHU | | | | | 10 | NIE ON | | |
| | POKOIK | | | | KWIAT W WIERSZU | | | | |
| | | | | | | | ROMEK I ... | 13 | 1 |
| BEZ FAŁSZU | 3 | | OTYŁY PAPIEROS | | | | | 6 | |
| NA PASACH | | | PIEŚNIARZ | | | DAJ MI | | | |
| DOM RYBEK | | | | | BEZ BUTÓW | | | | |
| | | 5 | | | | | | | BÓG SŁOŃCA |
| | 2 | | 8 | | | 11 | | | |
| MIARA OBSZARU | | | | | NIC | | | 12 | |
| NP. LÓD | | | | 7 | SYN DEDALA | | | | 4 |

| | | | | | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|----|----|----|----|
| 1 | 2 | 3 | 4 | 5 | 6 | 7 | 8 | 9 | 10 | 11 | 12 | 13 |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|----|----|----|----|

Pierwsze 10 osób, które prześlą nam e-mailem prawidłowe hasło ułożone z liter z ponumerowanych pól, otrzymają nagrodę.



Szanowni Państwo

Zarząd KOM-EKO S.A. składa Państwu serdeczne podziękowania za lata sumiennej i rzetelnej pracy, zaangażowanie w rozwój naszej Firmy, lojalność i uczciwość. Życzymy by nasza dalsza wspólna praca była dla Państwa źródłem satysfakcji i sukcesów.

Nasze życzenia składamy w szczególności świętującym w czwartym kwartale 2017 roku jubileusze:

10-lecie
pracy w KOM-EKO:

Dariusz Piekarczyk, Grzegorz Widyński

15-lecie
pracy w KOM-EKO:

Dariusz Mołag

FOTOREPORTAŻ

